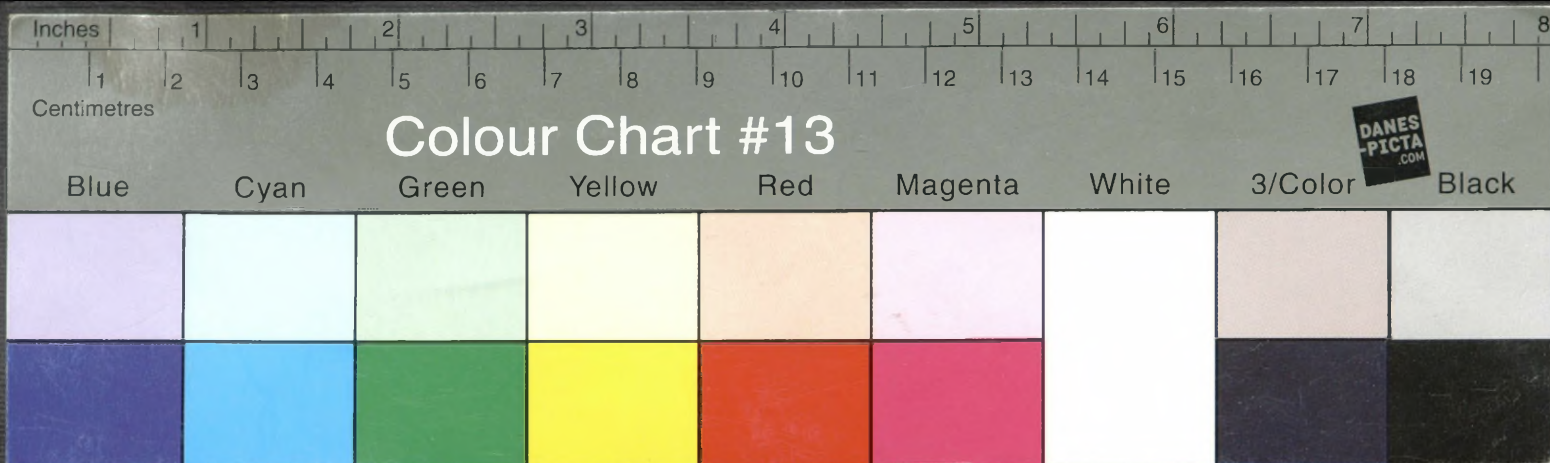




M A R E K Ś W I Ę C I C K I
O S T A T N I R O K W O J N Y



M A R E K Ś W I Ę C I C K I

OSTATNI ROK WOJNY

OSTATNI ROK WOJNY

MAREK ŚWIĘCICKI

OSTATNI ROK WOJNY

WRAŻENIA KORESPONDENTA WOJENNEGO

(20 ILUSTRACJI W TEKŚCIE)



GLASGOW 1946
KSIĄŻNICA POLSKA

884-4 : 3242

7197/1



Reportaże zawarte w tej książce ukazywały się w Biuletynach PAT'a, „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza“, „Polsce Walczącej“ i „Skrzydłach“ na przestrzeni: wrzesień 1944 — sierpień 1945. Pewne zagadnienia tu poruszone oraz pewne opisy — jak walki spadochroniarzy w Holandii, albo ofensywa Drugiego Korpusu na Bolonię — zostały już obszerniej omówione w dwóch moich książkach poprzednich: „Z Czerwonymi Diabłami pod Arnhem“ oraz „Za siedmioma rzekami była Bolonia“.

Kilka miesięcy czasu, które nas dzielą od akcji bojowych na kontynencie europejskim, stworzyło nowe perspektywy i możliwości szukania syntezy. W tej sytuacji reportaże z wypadków, chwytanych na gorąco i z przeżyć, nieraz bardzo subiektywnych, wydawać się mogą już przestarzałe, czy nawet nieaktualne. Wymagały by one, jeśli nie gruntownego przepracowania od podstaw, to przynajmniej licznych poprawek i uzupełnień. Wówczas jednak przestały by być tym, czym są: bezpośrednią obserwacją dziennikarza, któremu los pozwolił przemierzyć parokrotnie Europę w jednym z najtragiczniejszych jej okresów.

I dlatego wolałem pozostać przy pierwszych obserwacjach i przy pierwotnej treści reportaży.

AUTOR

Londyn, 1 wrzesień, 1945.

WOJSKA POWIETRZNE POD ARNHEM

Holandia, 30 wrzesień 1944.

Na stole pali się wątła lampa naftowa, holenderska rodzina płacze się po kuchni, za oknami leje jesienny deszcz. Ziemia od czasu do czasu drga od wybuchów: artyleria nie zna nocy i odpoczynku.

Jeszcze wczoraj było światło elektryczne, ale dziś Niemcy widocznie obrazili się na nas i wyłączyli prąd — elektrownia bowiem znajduje się po niemieckiej stronie frontu.

Brygada Spadochronowa odpoczywa. Jest to zresztą odpoczynek dość względny, wywołany nie tyle przez nasze położenie geograficzne — dokoła nas bowiem są linie nieprzyjacielskiej obrony — ile przez chwilową ciszę i przerwę w działaniach.

Brygada odpoczywa i zestawia bilans swej działalności pod Arnhem. Jest to zestawienie zaprawione sporą dozą goryczy, bo — pomimo i wielkich wysiłków i stosunkowo bardzo poważnych strat — działalność Brygady przesłonił ogromnym swym cieniem tragizm Airborne Division.

— Znowu mówili dziś w radio o Anglikach, a o nas nic — żali mi się ktoś na drodze.

Czuję w tych słowach akcent wyrzutu. Brzmi to tak, jakby ten ktoś chciał powiedzieć:

— Więc jak to? Jesteś, bracie, naszym korespondentem wojennym, byłeś w samym środku Airborne Division pod Arnhem, widziałeś też i naszych. Więc dlaczego nic o nas nie ma w radio? Dlaczego nie piszą gazety?

Przypominam sobie, jak jeden z brytyjskich korespondentów wojennych w piwnicy oblężonego hotelu w Hartenstein, gdzie było dowództwo Airborne Division, zwierzał mi się w chwilach grozy:

— Jeśli tylko Polacy tu przybędą, aby nam dopomóc, na zawsze pozostanę przyjacielem Polaków.

Polacy wprawdzie przybyli, lecz podobno korespondent nie powrócił. Nie widziałem go w Nijmegen i parokrotnie słyszałem że pozostał „tam“ — t. zn. w najlepszym razie w niewoli.

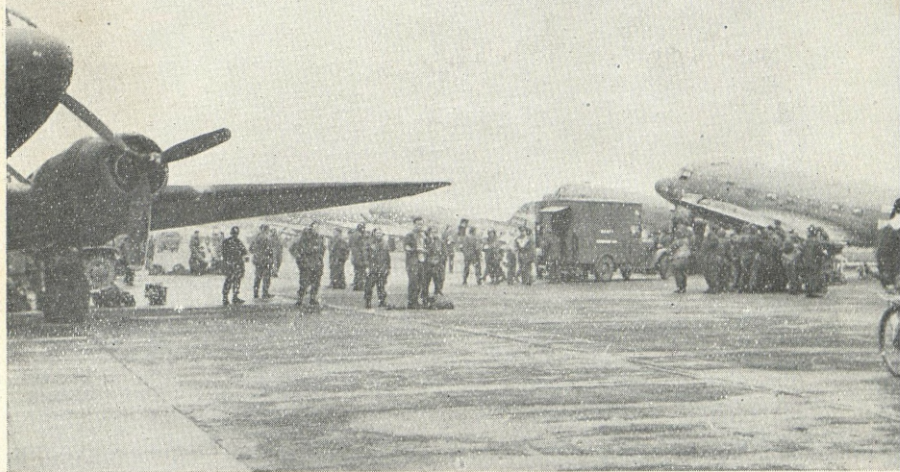
I inne zdania też sobie przypominam, ale to było już tak dawno — co najmniej przed tygodniem, gdy sytuacja była również najzupełniej inna.

— O, żeby Polacy przylecieli! — wzdychano.

* *

Polacy przylatywali pod Arnhem niejako na raty.

Najpierw, w poniedziałek 18 września, przyleciała część artylerii przeciwpancernej, dwie radiostacje, dwóch oficerów łącznikowych do sztabu Airborne Division i jeden korespondent wojenny, czyli po prostu ja. Przylecieliśmy w warunkach wycieczkowo-krajoznawczych: trochę tylko gniewała się na nas po drodze artyleria przeciwlotnicza i bardzo anemicznie strzelał ktoś zza krzaków, gdy nasze szybowce grzecznie i spokojnie siadały na ziemi. Słońce sympatycznie grza-



Arnhem; Przed startem na operację.



Arnhem; Spadochroniarze wsiadają do samolotu.



Arnhem: Piechota w akcji.



Arnhem: Patrol łączności.

ło, kilku żołnierzy niemieckich (wśród nich generał Kussin, dowódca okręgu Arnheim) śpiących snem wiecznym przy szosie wyglądało bardzo kapitulacyjnie, nasz sztab dyszał optymizmem.

— Jutro zapewne będziemy w Arnheim — przepowiedano powszechnie.

— Poco się pan tak męczy? — zapytałem ironicznie podchorążego P., który w pocie i znoju kopał opodał dowództwa solidny rów strzelecki — mam świetny pokój w tym domu. Jeszcze parę materaców i będziemy mogli spać razem.

— Może i ten dół na coś się przyda — odpowiedział flegmatycznie podchorąży.

Oj, przydał się i to znacznie szybciej, niż przypuszczałem.

* *

Następnego dnia przyleciał rzut szybowcowy naszej Brygady Spadochronowej. Przyleciał, lecz niewielu ludzi z jego składu dołączyło się do nas. I niewiele dział przeciwpancernych udało się wyciągnąć z szybowców.

Wyjechałem z por. Albinem P. na spotkanie szybowców i widziałem cały dramat jak w teatrze. Naszą piechotę, która miała ubezpieczyć lądowanie, przepędziło kikakrotnie silniejsze niemieckie natarcie. Z góry nadleciały Messerschmidty i zaczęły siec. Szybowce płonęły w powietrzu, spadały na ziemię, rozsypując się w drzazgi. A nawet jeśli lądowały cało, to postrzelane jak sito.

Ppor. W. został — dosłownie — połamany przy wyskakiwaniu z szybowca, ppor. H. wjechał ze swoim oddziałem na Niemców. Drogi powrotnej nie miał...

— Po tym co przeżyłem — mówił jeden z żołnierzy rzutu szybowcowego, por. Jerzy H. — mam jedyne pragnienie: Odkuć się na draniach jak najszybciej.

Nie odkuś się. Na drugi dzień rano staliśmy obaj na drodze, gdy nagle zagwizdały moździerze. Gruchnęliśmy na ziemię, instynktownie tuląc się do siebie.

— Wstawaj, już jest po wojnie — zawołałem, gdy nawała ucichła.

— Dla mnie jest naprawdę po wojnie — mówi Jurerek ze smutnym uśmiechem, wskazując na swą lewą nogę. Spory odłamek rozwalił mięśnie. Na ziemi rozszerza się czerwona plama krwi. Por. H. pojechał do szpitala, a po tym — wraz z nim — do niewoli.

* *

Idziemy na spotkanie naszej Brygady. Miała wylądować wczoraj — nie przyleciała. Może przyleci dziś.

— Uważajcie na sniperów — ostrzegają nas w dowództwie — przy wyjściu z lasu na główną drogę jest paru i kilka razy już naszych przygrzali.

Uważamy i to bardzo dokładnie. Dużym łukiem okrążamy podejrzane miejsce, a po tym — skok przez drogę. Za nami trzaskają kule, na szczęście, za późno. Poprzez ogrody i jakieś opłotki dochodzimy do jednej z baterii Royal Artillery. I w tej właśnie chwili zaczynają walić moździerze. Jak to one: z nagłą, nieprzytomnie, piorunem. Momentalnie kościół, odległy o jakieś 100 jardów od nas zapala się i wypuszcza ze swego wnętrza kłęby dymu. Nasza artyleria odpowiada — jest to jednak bardzo nierówna dyskusja. Ich stanowiska otoczyły nas ze wszystkich stron. Są obok nas i są nad nami, mogą strzelać jak chcą. Kulimy się przy domach, dopadamy do dowództwa baterii, a tu jak nie trząsnie... Niedaleko, parę jardów.

Jeden z naszych radio-telegrafistów już nie pójdzie dalej. Jest ranny w prawą pierś, ma poszarpane udo

i ramię. Obok leży zabity artylerzysta brytyjski. Nakrywamy Brytyjczyka płachtą spadochronu, na którym wczoraj spuszczone zaopatrzenie i schodzimy do piwnicy, gdzie pracuje dowództwo baterii.

— Wasza Brygada dziś też nie przyleci — mówią nam. — Lot odroczony znowu o jedną dobę z powodu złej pogody. Wracajcie.

Wracamy.

* *

Niezbyt gościnnie powitała ziemia holenderska naszych spadochroniarzy lądujących we czwartek dn. 21 września. Po ostrzegawczym warknięciu artylerii, zagwizdały moździerze i zajazgotały karabiny maszynowe.

Ogień z lewej, ogień z prawej.

Zmienne, a jak dla nas w czasie pierwszej fazy bitwy o Dolny Ren niepomyślne losy wojny sprawiły, że Polska Brygada lądowała w zupełnie innych warunkach niż przewidywały plany i założenia. Miała lądować w chwili, gdy most na Renie, na przedmieściach Arnhem, powinien się już znajdować w naszych rękach, miała natychmiast połączyć się z „Airborne Division“ i wraz z nią wyjść do decydującego natarcia.

Rzeczywistość wyglądała tak: Arnhem opanowane przez Niemców, wszystkie przeprawy przez nich obsadzone, mocno poszczerbiona Airborne Division całkowicie otoczona, oba brzegi Renu pod silnym ostrzałem artylerii nieprzyjaciela.

Zadanie Brygady?

Oczywiście — dopomóc Airborne Division.

Ale jak?

Generał Sosabowski, dowódca Brygady Spadochro-

nowej, podciąga pod osłoną nocy oddziały do rzeki, Patrole szukają przeprawy. Nie, nie ma nic. Prom zniszczony i pod ogniem niemieckich dział. Jakichkolwiek łódek ani śladu. Brodu też nie ma. I nie ma łączności. Po obu stronach rzeki męczą się cierpliwie radiotelegrafiści przy aparatach, nie przestają wołać, nie pominią żadnej fali — wszystko bez skutku. W słuchawkach przewalają się gwizdy, syki, piski i od czasu do czasu ostrzegawcze:

— Achtung. Achtung. Achtung.

A za chwilę bomba.

— Panie generale — melduje jeden z oficerów — natarcie niemieckie wychodzi na nas z północo-wschodu.

— Przygotować się do przeciwuderzenia — decyduje generał.

Parę kompanii wychodzi zza wału nadrzecznego.

Zza północnej strony Renu nie ustają detonacje, palą się domy, tu i ówdzie płonie las. Airborne Division pod ostrzałem artylerii i moździerzy stawia rozpaczliwy opór, broni się, nie bacząc na straty. Nawet bez łączności wiadomo, że oczekuje, że prosi, że żąda pomocy.

— Woda jest tylko dla ciężko rannych — mówi łagodnie, lecz stanowczo lekarz w piwnicy oblężonego hotelu w Hartenstein, w dowództwie Airborne Division.

— Czy jest już łączność z Polakami? — pyta dowódca Airborne Division gen. Urquhart.

Odpowiada mu milczenie...

— Czy jest już łączność z Dywizją? — pyta na południowym brzegu Renu gen. Sosabowski.

Odpowiada mu milczenie...

Łączności nie ma.

Dowódca Polskiej Brygady znowu pochyła się nad

mapą. I wtedy właśnie następuje scena, jakby żywcem wyjęta z pamiętnych kart „Ogniem i Mieczem“. Drzwi z nagłą się otwierają i wchodzi przez nie, z lekka ślaniając się na nogach dziwaczna postać, owinięta w siatki maskownicze, obficie ociekająca wodą i błotem.

Oficerowie machinalnie kładą dłoń na rewolwerach. Generał podnosi głowę z nad mapy.

— Panie generale, kapitan Ludwik Z. melduje swoje przybycie.

— Skąd się pan wziął?

— Stamtąd. Z Dywizji.

— Jak?

— Przeplynałem wpław Ren.

— Mów pan, jak tam jest — mruczy generał i odwraca twarz od lampy, aby przypadkiem ktoś z obecnych nie podpatrzył jego wzruszenia.

Kapitan Z. zaczyna tłumaczyć.

Łączność jest nawiązana.

* *

Decyzja zapadła: Polacy przeprowadzą się na północny brzeg Renu i wzmocnią obronę brytyjską. W ten sposób można będzie odroczyć katastrofę o dobę, czy nawet o dwie.

— A co po tym? — zapytuje jednego z oficerów sztabu Airborne Division.

Anglik patrzy na mnie bardzo chłodno i bardzo spokojnie.

— Po tym nadejdzie zapewne Druga Armia.

— A jak nie nadejdzie?

— Mamy rozkaz utrzymać nasze stanowiska. Czy pan rozumie, czym jest rozkaz dla żołnierzy?

Rozumiem, majorze. By order.

W nocy idzie kilku Polaków oraz piloci szybowców z Airborne Division nad rzekę. Mamy spotkać naszych, którzy z południowego brzegu przeprawią się na północny i prowadzić ich grupkami na miejsce zbiórki. Nad samą rzeką rozdzielamy się.

— Niech pan pilnuje tego odcinka w lewo, a my pójdziemy trochę dalej. Trudno jest określić z całą pewnością, gdzie wylądują łodzie — mówi do mnie kapitan Alfons M., jeden z polskich oficerów, przydzielonych do Airborne Division.

Noc jest, pomimo późnej pory, zupełnie jasna. Na naszym, północnym brzegu Renu pali się jakaś wioska. Z tamtej strony płonie spory kompleks budynków i widzę wyraźnie, jak zapadają się ściany i dachy. Artyleria pracuje i tu i tam. I ich i nasza. Nie bardzo tylko mogę rozróżnić czyje pociski w tej chwili fruwać nad łąką.

— Nie kłaniaj się pan tak uprzejmie — upominał mnie przed chwilą kapitan M. — To nasza artyleria. Nie ma się czego bać. A poza tym przecież one teraz nie lecą na nas, tylko dużo dalej. Artylerzyści biją się między sobą.

Pomimo oczywistej logiki tych słów kłaniam się pochodem nadal. Po prostu z kilkudniowego przyzwyczajenia.

Poświata od pożarów pada na rzekę, kładąc się na niej szerokimi, jasnymi pasami światła. O 300 jardów w lewo są pozycje niemieckie. O niespełna milę w prawo również. Za plecami nasze baterie, później stanowiska naszej piechoty, dowództwo Airborne Division i — też Niemcy. Klasyczny worek.

Z tamtej strony rzeki w cieniu dużego wału jest nasza Brygada. Ale gdzieś tam jest także i nieprzyjaciel. Więc — właściwie jak to będzie?

...Ni stąd ni zowąd zaczyna rąbać od lewej niemiecki ckm. Zupełnie niepotrzebnie. Wiem, że nic nie widzą, że niczego się nie spodziewają, że nie oczekują na nic. Nudzą się, dranie, w okopach i urządzają sobie rozrywkę.

Przez rzekę płynie łódź. Widzę ją zupełnie wyraźnie na jasnym pasie światła, lecz nie słyszę wcale jej ruchu. Wiosła zanurzają się bezszelestnie, łódź sunie jak przywidzenie, czy zjawą. Po paru minutach łagodne, cichutkie chlupotanie wody przy brzegu mówi o tym, że są. Idziemy razem przez łąkę. Wilgotna ziemia i gęsty deszcz głośną nasze kroki.

Pierwsza partia Polaków z tamtej strony jest już z nami. Czuję się trochę różnie, ale wiem na jak bardzo mizernych podstawach opiera się mój przelotny optymizm. Dwie małe dinghy do przeprawy — razem 8 ludzi za każdym obrotem. Ileż zdążą przepawić? Dwudziestu? Czterdziestu?

Przepawili sześćdziesięciu. Nowych sześćdziesięciu ludzi na stanowiska. Część z nich siadła w okopach mocno przetrzebionej Pierwszej Brygady Brytyjskiej, część poszła na najbardziej zagrożone pozycje Czwartej Brygady. Część uzupełniła „air landing Brigade“ a wszystko razem — garstka. Straszliwie mało w stosunku do potrzeb.

Następnej nocy, z 23 na 24 września doszło kilka nowych łodzi i przepawiło się na północny brzeg Renu ponad 300 żołnierzy Polskiej Brygady Spadochronowej. Równocześnie jednak ruszyło silne niemieckie natarcie i zwięzło jeszcze bardziej „worek“ naszej obrony.

* *

Na punkcie sanitarnym, w tej samej piwnicy gdzie i dowództwo Airborne Division, coraz częściej widzę



Polaków. Oto jakiś sierżant który nie chce oddać sanitariuszowi broni.

— Jakże, proszę pana — tłumaczy mi — mogę tak pozostać bez niczego na wojnie. Niech pan wyjaśni temu facetowi, że dokoła są Niemcy.

„Facetowi“ nie trzeba tego „wyjaśniać“, ale „facet“ jest uparty. Ranni jadą do szpitala Czerwonego Krzyża. Jest porozumienie z Niemcami, że transport rannych nie będzie zawierał żadnej broni, zatem...

— Jakiś Polak leży na noszach w korytarzu i chce mówić z kimś ze swoich — powiada do mnie Bruce Davis. Jest to najlepszy kompan dni i nocy grozy, porucznik amerykańskiego lotnictwa, zestrzelony w chwili gdy zrzucał nam ze swej Dakoty zaopatrzenie.

Polakiem, który leży na noszach jest strzelec Wiktor Ch. Dostał odłamkiem pocisku mózdzierza w stos pacierzowy.

— Ręce, moje ręce. Niech mi pan poprawi ręce, bo nie mogę nimi ruszać, a są źle ułożone. I wody.

Poprawiam mu ręce: i tak i tak — za każdym razem bolą. Młoda, szczeniacka twarz jest zmieniona grymasem straszliwego cierpienia, słowa sączą się z wysiłkiem, zniekształcone, trudne do zrozumienia.

Pytam lekarza, co będzie z tym rannym? Otrzymuję w odpowiedzi bardzo smutny uśmiech i zrezygnowane kiwnięcie ręki.

— Proszę pana, czy ja muszę umrzeć? Bo ja mam dopiero 20 lat — szepce Ch.

— Nie umrzesz. To nic nie jest. Nie bądź histerykiem — pocieszam go szorstko.

— Bo proszę pana, jakby ja umarł, albo został takim kaleką, który ani nogą, ani ręką, bo to w krzyże... pan wie... to niech pan napisze, że ja z Wilna. I że dwa lata w Rosji. Na północy. A teraz na wojnie... W tej ich

Holandii. I że ja dlatego tu poszedł, żeby do Wilna wrócić. Ludzie, ludzie, przecież ja o Wilno... Niech pan napisze, panie korespondencie...

Ktoś dotyka lekko mego ramienia.

— Wracam z pogrzebu — mówi z dziwnym grymasem por. P. — przysypaliśmy w dole kapitana Gazurka i paru naszych ludzi. Por. Kutrzeba też zginął. Od pocisku...

* *

Na południowym brzegu Renu, dokoła miejscowości Driel gen. Sosabowski okopał się i osiadł dość mocno.

— Zrobimy sobie „jeża“, proszę panów — powiedział do swego sztabu — i niech Niemcy spróbują nas ugryźć.

Ważny to „jeż“ i w tej sytuacji niezmiernie cenny. Nie tylko dlatego, że ugryzienie go jest przedsięwzięciem dość ryzykownym. „Jeż“ nie pozwala zamknąć całkowicie Dywizji brytyjskiej. Jak długo on istnieje, tak długo jest droga odwrotu przez Ren, tak długo są siły niemieckie rozproszone w walce, pochłonięte nie jednym, lecz dwoma workami. Pierwszy z nich — większy — to Airborne Division, drugi — Polska Brygada Spadochronowa. Trzymamy Ren — aby tak rzec — obustronnie.

Prócz tego — a może nawet nie prócz tego, lecz przede wszystkim — „jeż“ pozwala spokojnie dojść do Renu wysuniętym elementom Drugiej Armii. To co osiągnęła swym trwaniem i swymi walkami w rejonie Arnhem Airborne Division, to samo w trochę mniejszej skali osiąga na południowym brzegu Renu Polska Brygada.

Niemcy orientują się w sytuacji nieźle i usiłują gryźć

„jeża“, jak tylko potrafią. Mniej tu mogą operować artylerią, niż po przeciwnej stronie rzeki, za to nacierają zaciekle piechotą.

Brygada nie broni się. Brygada kontratakuje. Brygada spycha w kilku punktach Niemców z ich pozycji. Ale sytuacja nie wygląda bynajmniej różowo. Trzystu kilkudziesięciu ludzi i rzut szybowcowy Brygady na tamtym, północnym brzegu. Straty w czasie przelotu. Tu — sporo zabitych i rannych.

...W czasie jednego ze szturmów ginie ppor. Ryszard Tice, Amerykanin, ochotnik naszej Brygady. Wstąpił do jej szeregów jeszcze wówczas, gdy USA nie były w wojnie. Odbił skoki, skończył podchorążówkę.

— Dlaczego nie wracasz do swoich? Dlaczego pozostajesz z nami? — pytano niejednokrotnie Tice'a.

— Z tej samej przyczyny dla której Polacy bili się o wolność Stanów. Płacę stare długi — odpowiadał...

...Wreszcie, w świetle któregoś tam ranka wychyla ją się zza mgły dwa pierwsze czołgi alianckie. Są osamotnione, wyrwały się naprzód, a teraz Niemcy odcięli drogę odwrotu.

— Jedźcie drogą na te domy. Wyrzućcie stamtąd Niemców — wydaje pancerniakom rozkaz gen. Sosabowski.

— All right, Sir, ale tam są miny. Ktoś musi nas poprowadzić.

Obok domku stoi mały, damski rower. Generał gramoli się na siodełko i wali naprzód.

— Follow me! — woła do pancerniaków.

Po kilkunastu godzinach było więcej czołgów. Na drugi dzień południowy brzeg Renu znalazł się na tym odcinku całkowicie w naszych rękach. I wtedy właśnie została zdecydowana przeprawa Airborne Division z północnego brzegu na południowy.

Polacy, którzy byli na północnym brzegu i przeprawiony tam przedostatniej nocy walk pod Arnhem batalion „Dorset’ów“ mieli osłaniać odwrót.

* *

Ranek w poniedziałek dnia 25 września powitał nas względną ciszą. Tak na ucho licząc (a uszy w owym czasie mieliśmy już bardzo wytrenowane) może najwyżej dwie baterie w nas łupiły i kilka moździerzy. Paru sniper’ów, którzy z samego środka naszych pozycji od kilkunastu godzin walili w dowództwo, zlikwidowano w ciągu nocy. Obręcz wyraźnie zelżała.

— Going to be nice — mówi do mnie Bruce Davis.

— Zdaje się, że już teraz będzie „fajno“ — pomrukuje któryś z Polaków.

— Śmiałbym się — powiedział — gdyby Niemcy wywłąchali nasze plany i przygotowali ogień na noc.

Śmiałbym się... Wiele godzin musiało minąć od tej nocy, zanim znowu potrafiłem się śmiać.

Była godzina 10 wieczorem, gdy wypadliśmy z dowództwa dywizji w las. Oślepiła nas jasność. Cały las płonął. Drzewa waliły się obok nas sypiąc iskrami, pociski gwizdały i warczały i jęczały, nie było chyba odgłosu, jakiego tej nocy nie wydawałby ogień Niemiec. Pod ogniem żołnierze Dywizji. Małe grupki bezbronných ludzi, ludzi, którzy powinni byli, którzy musieli — według Niemców — pozostać w tym lesie na zawsze. Ludzi, których jedynym uczuciem powinien być w czasie tej okropnej nocy strach.

Nie było jednak strachu i nie było paniki. Była tylko przeraźliwa obawa, obawa zwierzęcia osaczonego dokładnie, zagrożonego w każdej chwili śmiercią.

Śmierć była widoczna. Świetlne pociski i jaskrawo

rozrywające się bomby oznajmiały ją co moment. Jeden leci i mogę dokładnie obliczyć, gdzie się zatrzyma. Na piątym, najdalej na szóstym z mojego szeregu.

— Please — krzyczy ktoś z tyłu. To MacDuglas, dokładnie szósty za mną.

Dopóki jeszcze idziemy — można wytrzymać. Ruch, połamane gałęzie pod nogami, cała uwaga skupiona na tym, aby — broń Boże — nie upaść. Kto upadł, ten już nie powstał więcej. Ale postoje, ale oczekiwanie na bomby, ale obserwacja serii cekaemów są najgorsze. A oni — Polacy i Dorsety siedzą cały czas. Nie mogą się ruszyć — co najwyżej do przeciwnatarcia.

Jest piekło. Piekło, które trudno opisać i które do dziś przeżywa się za każdym wspomnieniem.

Nad samym brzegiem ogień jest jeszcze silniejszy setki ludzi czekających na swoją kolej w łódkach.

— Queue is here — mówi spokojnie jakiś szybowcowy pilot. A w ogóle piloci szybowców są naszą Żelazną Gwardią.

— Don't panic, don't panic — powtarzają i osiągają magiczny skutek.

Pomimo wszystko i wbrew wszystkiemu jest idealny porządek.

Na tamtym brzegu wypełzam z łódki, gramolę się na wał i idę szukać Polskiej Brygady. Po dwóch miłach spotykam polskiego żołnierza.

— Gdzie jest nasze dowództwo? — pytam.

— Przed dwoma godzinami było tu — wskazuje na rozwalony i jeszcze płonący dom — gdzie jest teraz, nie wiem.

* *

Na drugi dzień w czasie spaceru w południowym słońcu w Nijmegen zaczyna mnie angielski żandarm.

— Do you speak Polish? — pyta. — Bo tu jest ktoś, kto twierdzi, że należy do waszej Brygady. Siedzi w naszym łaziku.

Podchodzę do łazika. Jakiś osobnik w cywilnych, aksamitnych spodniach i równie cywilnej kolorowej koszuli, bosi, lecz za to owinięty litościwie przez wojsko w gruby koc patrzy na mnie cokolwiek zaleknionym wzrokiem.

— Jest pan Polakiem?

— Tak. Byłem w osłonie odwrotu. O godzinie 10 rano już nie było łódek. Zza domów wyjechały niemieckie czołgi i parły na nas. Reszta, tych kilkudziesięciu, którzy nie zdążyli się przeprawić, musiała wywiesić białą chorągiew. A ja skoczyłem do wody i jakoś przepłynąłem. Cywile trochę przebrali, bo byłem przemoknięty, jak to się mówi do kości.

— Czy to jest naprawdę wasz żołnierz? — dopytuje się podejrzliwie brytyjski żandarm.

— Naprawdę — odpowiadam wolno. — Ten człowiek jest prawdziwym żołnierzem Polskiej Brygady Spadochronowej.

DRUGI KORPUS

— Jakie są pana wrażenia z pobytu w Drugim Korpusie? — oto pytanie, z którym stykam się stale po powrocie z frontu włoskiego.

— Widzi pan (względnie „pani“, „widzisz“, i t. p.) to nie jest takie proste. Weźmy na przykład... — zaczynam odpowiedź.

Pytający macha niecierpliwie ręką. On nie chce od niczego zaczynać. Żąda natychmiastowej, zwięzłej — i powiedzmy sobie szczerze — uproszczonej odpowiedzi.

— Czy to wojsko jest bardzo zmęczone? Czy to prawda, że nie chce się teraz bić?

— Skądże — zaprzeczam żywo. — Nie jest na tyle zmęczone, aby...

— A więc, płonie pragnieniem dalszej walki? — uśmiecha się ironicznie ten ktoś, kto jest niecierpliwy i nie lubi długo myśleć.

Jakże tu wytłumaczyć, że pomiędzy zupełną rezygnacją, a t.zw. żądzą boju jest jeszcze ogromny wachlarz odcieni, jest niesłychanie duża skala setek, czy nawet tysięcy przeżyć i poglądów, refleksji i wniosków? Że niekoniecznie trzeba stać na stanowiskach biegunowo sobie przeciwnych, że wiele męki i niepewności musi przejść dusza żołnierza, aby dobrać nareszcie do

decyzji, która będzie obowiązywać i stanie się podstawą działania.

Zdenerwowani ludzie londyńscy nie zawsze chcą i potrafią to zrozumieć. Daleka bowiem i długa jest droga z Londynu do Drugiego Korpusu. Nie tylko dlatego, że Włochy są odległe o sporą ilość mil od Wielkiej Brytanii. Drugi Korpus bowiem nie da się zamknąć w pojęciu Włoch, jako kraju i w pojęciu Włoch, jako pól bitewnych. Dusza Drugiego Korpusu, to coś więcej, to coś dużo więcej, niż odległość i dzisiejszy front. To także śledztwa, więzienia i łagry, to także arcydługie podróże poprzez Irak i Iran, czasem Afganistan i Indie, poprzez Palestynę i Egipt, to także pustynne hamsiny, miesiące, prawie lata, pod namiotami, tęsknota i oczekiwanie.

Drugi Korpus to jest również Libia i Tobruk, El Alamein i Ghazala, spotkanie z Africa Korps, romantyczne dzieje Ósmej Armii, setki patrolów w żółtych wydmach piaskowych, epepea pościgów i odwrotów, zmęczenia i skradzionej piosenki o „Lili Marlene”. I Drugi Korpus, to też — o czym nie zawsze się pamięta — zbuntowana, rozgoryczona Szkocja, która nie chciała dłużej czekać. Szkocja, która dusiła się i dławiła pomiędzy fish and chips i two double nice whisky, pomiędzy natarciem w założeniu, a takąż samą w założeniu obroną. Szkocja, która w pewnej chwili zwątpiła w bliskość jakiegokolwiek inwazji, która nie przeczuła Falaise i Chambois, nie wyczarowała w wyobraźni Arnheim i Bredy. Ta Szkocja, która powiedziała sobie: „Dość już tego wszystkiego. Chcemy ruchu, przygody... i szybkiej akcji”.

To jest właśnie Drugi Korpus. Z takich elementów się składa. I o tym trzeba wiedzieć przede wszystkim, gdy się chce znaleźć odpowiedź na pytanie: co myślą

„oni“ w tej chwili o naszej sytuacji? „Oni“, a więc ludzie wyciągnięci z objęć ponurej i powolnej śmierci, ludzie pustynnych piasków i ludzie niespokojnego ducha. Tacy, można powiedzieć, dalecy koloniści wojennej polskiej emigracji. Tacy amerykańscy Anglicy XVI i XVII wieku — w polskim i dwudziestowiecznym wydaniu! — którzy z powodu dziwnych zbiegów okoliczności znaleźli się na peryferiach oficjalnej naszej myśli i urzędowych naszych działań.

To przebywanie na peryferiach sprawia, iż ludzie we Włoszech na ogół bardziej liczą na możliwości polskiego Londynu, niż tenże Londyn liczy na siebie. To przebywanie na peryferiach sprawia też, że wiadomości czasami docierają za późno. Że — zdarzyć się może — nie zawsze są matematycznie ściśle. Oto są wady peryferii. Oto ich ujemne strony i cechy uciążliwe.

Ale peryferie mają też i swoje zalety. Ustrzegły się przed nerwowością niespokojnego rozstrząsania każdego drobiazgu. Przed wyciąganiem wniosków z opinii angielskiej właścicielki domu, czy też angielskiego brukowego pisemka. Uchroniły się przed „pewną wiadomością z dobrego źródła“. Zabezpieczyły się przed naiwną plotką, która tak bezkarnie hula w londyńskich antyszambrach. Stąd też, pomimo odległości, pomimo prowincjonalności, Drugi Korpus ma nieraz lepsze rozeznanie spraw.

Myliłby się jednak ten, kto by tylko w odległościach, peryferiach i prowincjonalizmie szukał przyczyny różnic. Przyczyna ta jest i głębsza i bardziej uzasadniona.

— Ujrzy pan tu u nas jakby miniaturę Polski, jakby taką maleńką Polskę, przeniesioną do tego kraju — powiedział mi generał Władysław Anders, gdy meldowałem się u niego na wstępie mojej włoskiej wyprawy.

Uśmiechnąłem się wówczas mówiąc szczerze — dość

powątpiewająco. Przecież — pomyślałem sobie — wszędzie, gdziekolwiek są Polacy jest także i „maleńka Polska“. W kompanii wojska, zagubionej w niepozornym, szkockim miasteczku. W podrzędnej filii londyńskiego urzędu, ukrytej gdzieś w zakamarkach Victorii. W redakcji pisma, w zespole teatralnym. w stowarzyszeniu takim czy innym. A cóż dopiero mówić o „maleńkiej Polsce“, która jest całą dywizją, głośnie zwycięstwami, dywizją walczącą od długich miesięcy we Francji, w Belgii i w Holandii?

— To są też „maleńkie Polski“, panie generale — powiedziałem z urazą.

Generał uśmiechnął się.

— Zobaczysz pan różnicę.

Różnicę zacząłem widzieć bardzo szybko. Nie mogłem jej nie dostrzec, rzucała się w oczy w każdym m. p. oddziałów Korpusu, w każdej jego komórce. I na pewno na każdym kroku.

Różnicę tę stanowi przede wszystkim liczba i jednolitość środowiska, pozbieranego ze wszystkich stron świata.

Przestrzenie dały Drugiemu Korpusowi szeroki oddech. Ciągły ruch dał rozmach myśli. Zwycięstwa — poczucie własnej wartości. Liczba kikudziesięciu tysięcy ludzi — świadomość własnego znaczenia. A więc to wszystko, czego nie ma w tym stopniu wojsko w Szkocji, ćwiczące i reorganizujące się wciąż w tych samych hrabstwach. To, czego nie ma londyński Polak, siedzący nieustannie w coraz mniej gościnnym Londynie. Czego mieć nie potrafi nawet sławna Dywizja na zachodnim froncie, będąca tylko wysepką w morzu alianckiej ofensywy. Wysepką ważną, lecz nie wielką.

„Maleńka Polska“ na Bliskim Wschodzie — bo Drugi Korpus, to nie tylko Włochy — nie jest wysepką. Jest

całością, która zaczyna się gdzieś w Egipcie, czy Palestynie, a kończy się na najdalej wysuniętych stanowiskach włoskiego frontu. Stąd też komórki tej miniatURY Kraju nie są przybudówkami, czy przyczepkami do czyichś cudzych urzędów. Stąd też teatry nie są „żywym polskim słowem“, ale normalną sceną, taką jak wszędzie w prawdziwych krajach. Stąd polskie napisy i tablice na drogach nie budzą zdumienia i nie rozczulają do łez, trudno jest bowiem zdumiewać się na przestrzeni setek kilometrów, a jeszcze trudniej zraszać drogi tej długości rzewnymi łzami. Stąd polskie hotele są po prostu hotelami; polskie domy wypoczynkowe, szpitale, kolonie dla uzdrowieńców, szkoły w Egipcie, czy w Afryce, kluby Imki i t. d. — tworzą rzeczywisty obraz, a nie wizję. Wycinek życia, a nie symbol.

Zresztą, cóż mówić o polskich teatrach, czy polskich hotelach we Włoszech. Przecież tam była nawet polska „prywatna wojna“ z Niemcami. Cała kampania adriatycka, ze zdobyciem Ankony włącznie była samodzielną wojną Drugiego Korpusu, powstałą z polskiej inicjatywy, prowadzoną na podstawie wyłącznie polskich pomysłów i planów. Wojnę, w której po tej, alianckiej stronie frontu siedł żołnierz polski bez jakiegokolwiek pomocy na szerszą skalę.

Czyż dziwić się więc, że w tych warunkach Drugi Korpus wyhodował wśród siebie wiarę we własne siły, że ustrzegł się przed wielu zwątpieniami, że nie ma w sobie — tak jak dość często my na zachodzie — poczucia niższości wobec innych. Ileż to razy powtarzaliśmy wśród nas ostrzegawczo: „obcy na nas patrzą“, lub: „to czy tamto nie podoba się Szkotom“, lub „co Anglicy o nas pomyślą?“... Jakże często naśladowaliśmy nieudolnie cudze zwyczaje i obyczaje, nie rozumiejąc ich treści i sensu...

Drugi Korpus przeważnie z niczyjej gościnności nie korzystał. Jedyna, przez którą większość jego żołnierzy przeszła, była gościnnością osobliwą, ponurą i makabryczną. Za tę gościnność na pewno nie trzeba dziękować... Drugi Korpus do nikogo nie musiał uśmiechać się przymilnie, ani też nikomu prawie komplementów. Prawda jego niezależności, jego ważności i udziału we wspólnej walce przeciw wspólnemu wrogowi była zawsze tak oczywista, że nikt by jej tam, na śródziemnomorskim teatrze wojny nie ośmielił się poddać w wątpliwość. Że nikt nie zdobyłby się na nieprzyzwoitość wyliczania, ile funtów wydano na ten Korpus i kto je będzie w przyszłości zwracał.

Może więc sobie Drugi Korpus pozwolić na niesłychany w dzisiejszych czasach zbytek: na dumę narodową. Manifestuje się ona nie w szorstkości, nieobyczajności, czy zgola w prostactwie. Nie w taniutkich, a głośnych wykrzyknikach. Duma narodowa Drugiego Korpusu wyraża się w spokojnej, pełnej godności postawie. W ściągnięciu nerwów w cugle. W wykonywaniu zobowiązań, pomimo że kto inny tych zobowiązań nie wykonał. W dotrzymywaniu słowa, pomimo że kto inny tego słowa nie dotrzymał.

I w wierze. I w optymizmie.

Na czym opiera się wiara? Gdzie jest źródło optymizmu?

Nie jestem żołnierzem Drugiego Korpusu. Byłem tam krótko i nie mam prawa w imieniu tamtego Korpusu zabierać głosu — uzasadniać wiary tamtych ludzi, uprawdopodobniać ich optymizmu. Ale przypominam sobie dwie, jakże charakterystyczne, rozmowy.

— ...A jeśli nie wrócimy do tej Mejszagoły? — zapytałem któregoś dnia starszego strzelca z batalionu „Żbików“ Dywizji Kresowej. „Kresowy Żbik“ bowiem roz-

snuwał przed moimi oczami projekty „wileńczuckiej” przyszłości, odbudowy i unowocześnienia swego gospodarstwa (znajdującego się właśnie pod tąż Mejszagołą), zastosowania jakichś tam niesłychanych ulepszeń, podpatrzonych niegdyś u przemysłnych chaluców w słonecznej Palestynie.

— Dlaczego mamy nie wrócić? — rzucił się st. strzelec na mnie z furią. — Ja nawet do siebie takiej myśli nie dopuszczam. Boga by nie było chyba na niebie i tej odrobiny sprawiedliwości na ziemi, gdyby my mieli nie wrócić.

W parę dni później rozmawiałem z pułkownikiem Klemensem R., który opowiadał mi o walkach pod Monte Cassino.

— Najdziwniejszym obrazem, jaki pamiętam z tej akcji — mówił pułkownik — był widok płaczących żołnierzy. Jeden z naszych plutonów doszedł pod same niemieckie bunkry i... zabrakło mu amunicji. Żołnierze zaczęli chwycić kamienie i rzucać je w kierunku bunkrów. Ryczeli i płakali przy tym jak dzieci. Ze złości, z wściekłości, że oto tak blisko dotarli do nieprzyjaciela i są wobec niego bezsilni...

— Histeria — przerwałem pułkownikowi.

— Być może, proszę pana. Może histeria. Ale, panie, oni ten bunkier zdobyli!

— Czym? Kamieniami?

— Nie, drogi panie, kamienie i łyzy były z wściekłości. Potem przyszła amunicja. Chodziło o to, aby tej amunicji się doczekać, aby nie wycofać się od razu, dlatego, że jej nie ma. Histeria, o której pan tak lekko mówi, łyzy z których ktoś obcy potrafi się śmiać, wypłynęły z walki, z sytuacji i nastroju. Niech pan nie kpi z kamieni, bo w bitwie, bo w każdej bitwie trzeba mobilizować wszystko. Nawet kamienie... gdy zabraknie amunicji.

W bitwie trzeba mobilizować wszystko... Prawdę tę zna Drugi Korpus z wielu epizodów. Pod tymże Monte Cassino, w ostatnim dniu natarcia na Klasztor, gdy już zabrakło na jednym z odcinków oddziałów liniowych, poszła ostatnia — dosłownie ostatnia — kompania. Poszły kancelarie, poszli pocztowi, sanitariusze, wrócili pod ogień nawet lekko ranni. I Klasztor został zdobyty!

Jak wiele zaś ciężkich chwil było pod Monte Cairo, pod Ankoną, nad Metauro, w Pessaro, w Predappio i na tylu innych miejscach walk, na tylu innych miejscach triumfów Drugiego Korpusu! Przetrwano ciężkie chwile. Przełamano opory. Osiągnięto cele. I stąd — ze zwycięstw, które przecież nie przyszły za darmo — wyrasta optymizm.

Na barwnej, nieprawdopodobnie bogatej w najdziwniejsze zdarzenia przeszłości opiera się zaufanie Drugiego Korpusu w przyszłość. Na przekonaniu, że jednak światem nie mogą rządzić na stałe nonsens, ucisk i niesprawiedliwość — opiera się jego wiara.

Taki — sędzę — jest Drugi Korpus.

NIE OKUPANCI, LECZ OSWOBODZICIELE

Front włoski, styczeń, 1945.

Drugi Korpus Polski we Włoszech nie potrzebuje być dziś nikomu przedstawiony. Nie trzeba wyliczać jego walk, bo wszyscy je znają. Nie musi się cytować pól bitew, bo jeszcze niedawno przechodziły one przez główne tytuły w pismach i nadawane były jako czołowe wiadomości przez radio. Któż jest w stanie zapomnieć o Monte Cassino? O tym Monte Cassino, o które pokruszyły się ataki amerykańskie i brytyjskie, o tym Cassino, które przez tygodnie całe irytowało opinię publiczną wszystkich Zjednoczonych Narodów? Któż potrafi zapomnieć o zdobyciu Ankony i o zwycięskim przesądzeniu w ten sposób nie tylko kampanii adriatyckiej polskiego Korpusu, ale i niemieckich możliwości obronnych na linii Gotów? Któż wreszcie, popatrzywszy na mapę, nie pomyśli z największym uznaniem o Drugim Korpusie i jego kampanii apenińskiej? O zdobyciu Predappio, o zajęciu Pessaro, o wyrzuceniu nieprzyjaciela z niezdobytch na pozór szczytów górskich, z na dziesiątków zaminowanych rzek.

Ta wielka i pełna chwały, ściśle wojenna przeszłość Korpusu usuwa na dalszy plan wszystko inne. Zakrywa przeciętne, codzienne życie żołnierza, przesłania je-

go osiągnięcia na odcinku kulturalnym, samokształceniowym, organizacyjnym. Przyciemnia dziedzinę specjalnie ciekawą: stosunek Polaków do Włochów.

Żołnierz polski, zdobywając góry, niemieckie bunkry i dziesiątki miast nie miał ani czasu, ani też specjalnej ochoty na zdobywanie serca włoskiej ludności. Nie prowadził w tym kierunku wyjątkowej propagandy, nie przekonywał Włochów, że przychodzi ich wyzwolić spod faszystowskiego ucisku i niemieckiej tyranii. Żołnierz polski zachowywał się we Włoszech po prostu normalnie. Tak samo jak w Polsce, tak jak przed tym w Iraku, w Palestynie, czy Egipcie. Tak, jak jego koledzy w Szkocji, we Francji, w Belgii, lub Holandii.

— Staliśmy, proszę pana w czasie nabożeństwa, jak zwykle wojsko, ławą, człowiek przy człowieku — opowiadał mi jeden z żołnierzy Korpusu. — Kościół był zniszczony. U góry brakowało części dachu, szyb ani śladu. Więc jak ksiądz zaczął obchodzić kościół z tacą, to nikt z nas pieniędzy nie żałował. Poniżej 50 lirów nie zobaczyłby pan żadnego papierka. Dopiero się Włochom oczy otwały i powiedzieli, że mogą zacząć myśleć o odbudowie kościoła.

Takich kościołów we Włoszech jest więcej. Poza słynnym klasztorem na Monte Cassino, Polacy odbudowują mniej znane kościoły, które napotkali w czasie swej wędrówki, w ciągu swych walk.

Jest pewien, niewielki zresztą odcinek włoskiej rzeki Metauro, który w swoim czasie został zdobyty przez żołnierzy polskich w sposób dziwny i zgoła w czasie wojen nie praktykowany. W trakcie nacierania na linie niemieckie, znajdujące się przed Metauro, jedna z polskich kompanii zdobyła folwark, wyrzucając stamtąd nieprzyjaciela zdecydowanym uderzeniem. Ponieważ zbliżał się już zmrok, więc dalsze natarcie w kierunku

rzeki było bardzo niewskazane. Dowódca kompanii wydał rozkaz okopania się na zdobytej pozycji. Po kilkunastu minutach jednak przyszło dwóch szeregowych do dowódcy:

— Panie poruczniku, musimy koniecznie zdobyć dzisiaj rzekę — powiedzieli — bo nam było wyzdycha.

— Jakie było? — zdumiał się oficer.

— No, z tego folwarku. Gospodarze uciekli, a krowy, osły i świny są bez jedzenia, a co najgorsze, bez wody. Musimy wyrzucić Niemców z nad rzeki, bo przecież zwierzęta nie są winne, że jest wojna.

I pomimo zmęczenia, pomimo coraz to gęstniejącego zmroku, kompania poszła dalej, przepędziła Niemców, zdobyła linię rzeki, i w konsekwencji — uratowała od śmierci inwentarz żywy włoskiego chłopa.

Jeśli więc taka była pomoc dla zwierząt, jaka mogła być pomoc dla ludzi? Żołnierze nie lubią za wiele rozprawiać na ten temat. Zbывая wzruszeniem ramion wszelkie pytania i tylko ukradkiem dzielą się swymi porcjami, czy papierosami z cywilną ludnością. Wystarczy zajrzeć do kuchni pierwszego napotkanego oddziału polskiego, aby spotkać obdarte i zamorusane dzieci włoskie, płaczące się przy kucharach. Jeden z tych dzieciaków niedawno dostał wreszcie upragniony mundur, chociaż broni jeszcze nie nosi: ma, jak twierdzi, lat szesnastcie, ale w to nikt nie wierzy, wygląda najwyżej na czternaście. Nazywa siebie Bronkiem chociaż prawdziwe jego imię jest Bruno, mówi dobrze do polsku i koniecznie po wojnie chce do Polski pojechać.

Różnie Włosi demonstrują swą wdzięczność. Nie tylko w słowach, w komplementach czy w prywatnych dykusjach. Nie tylko nawet na zebraniach publicznych, w pochodach, w formie dziękczynnych adresów czy w projektach pamiątkowych tablic. Nie tylko podkreślają



Front włoski; Cassino z oddali.



Front włoski; Cassino, u stóp góry klasztornej.



Front włoski: Na Monte Cassino — po roku.

swą sympatię przez zawieszanie polskich sztandarów, czy też przez noszenie polskich orzełków. Wdzięczność Włochów znalazła swój wyraz także i w czynach. Wraz z polskim Korpusem walczy ochotniczo Brygada Włoska, która swą nazwę *Maiela* wzięła od jednego z włoskich grzbietów górskich. Żołnierze tej brygady pochodzą ze wszystkich stron Włoch i ze wszystkich warstw włoskiego społeczeństwa. Są wśród nich mieszkańcy miast i górale, są robotnicy i chłopi, studenci i analfabeci. Nikt ich nie wzywał, nikt ich o pomoc nie prosił. Przyszli sami, a raczej sami przychodzili kolejno na szlakach zwycięskiego marszu Drugiego Korpusu.

Był jeden taki Włoch, którego Polacy uratowali od śmierci. Stał już pod murem i za chwilę miał zostać przez Niemców rozstrzelany, gdy nagle, naprawdę chyba cudem, zatrajkotały *tommyguny*. Jeszcze moment — i na oszołomionych Niemców spadł nagle polski patrol.

— *Hände hoch!* — wrzasnął dowódca patrolu. Role zmieniły się całkowicie. Uratowany od śmierci Włoch nie dał się już od oddziału odpędzić. Przeszedł z nim niemal całą kampanię apenińską i zginął później od odłamków artylerii w czasie pełnienia służby.

Wędrując po oddziałach Drugiego Korpusu można więcej takich ochotników spotkać. Włoski chłopiec uratowany przed egzekucją nie był jedynym, który zginął w polskich szeregach. Pod Monte Mauro padł kapitan Trehardi, zostawiając w podrzymskim miasteczku żonę, pięcioro dzieci i prywatną szkołę, którą założył i którą kierował. Pod Abruzzo zginął kapral Casadio, student uniwersytetu we Florencji. Nad Senią padł z l.k.m.'em w rękę młody chłopak imieniem Giovanni, do dziś nieznanym z nazwiska.

Społeczeństwo włoskie przekonało się, że Polacy przyszli nie po to, aby być okupantami. Nie po to, aby tak

jak „sprzymierzeni“ Niemcy grabić i wypędzać z domów, niszczyć i rozstrzeliwać. Włosi zdają sobie sprawę z prawdy najzupełniej oczywistej i jasnej, ujętej, jakże trafnie, przez jednego z publicystów rzymskich:

— Polacy walczą o wolność swego Kraju — pisał on — i wiedzą i wyobrażają sobie i marzą o tym, jak ta wolność ma wyglądać. Szanując własną wolność potrafią uszanować cudzą. Poświęcając życie dla swego kraju, cenią patriotyzm innych narodów...

Naród włoski wie, że Polacy nie nadużyją wielkiego słowa „wyzwolenie“. Z półwyspu włoskiego niemal widać Bałkany, a w każdym razie słyszeć, co tam się dzieje. Słuchając tych odgłosów, czytając o rozmaitych deklaracjach Włosi rozumieją dodatkowo jeszcze jedno, to mianowicie, że Polakom los płaci za ich walki, zwycięstwa i braterski stosunek do innych narodów miarą goryczy wyjątkowo wielkiej i wyjątkowo ciężkiej do zniesienia.

PATROL POLUJE NA KACZKI

Front włoski, luty, 1945.

— Słyszałem, że pan ma ochotę iść na patrol — powiedział do mnie dowódca batalionu, mjr. K. rozcierając zmarzniete ręce.

— Ewentualnie mógłbym pójść — mruknąłem bez specjalnego zapachu.

Nastrój w punkcie dowodzenia baonu „Żbików“ należał do wybitnie przyjemnych. Gości, a w tym i mnie, zabawiano „czym chata bogta“. Gdy nie było jeńców, ściągano ogień artylerii, gdy goście grymasili na artylerię, fatygowano moździerze, minowano przedpole i w ogóle służyło wszystkimi możliwymi atrakcjami. Na dobitek arcymoździerzysta por. F. szepnął mi, że wieczorem będziemy doili kolektywnie jakąś wysoce przednią szkocką *whisky*. Szkocka *whisky* na czubku włoskiego frontu! Okazja, jak cholera!

Czyż można więc dziwić się, że w tych warunkach zdołałem gruntownie zapomnieć o wybąkniętej przed jakimś czasem propozycji pójścia na patrol? I, że tego wieczoru specjalnie najmniejszą w tym względzie miałem ochotę?

— Bo właśnie dzisiejszej nocy rusza patrol bojowy, który może być bardzo ciekawy — ciągnął mjr. K. —

Zadysponowałem już, aby przysłali przewodnika po pana i za jakiś kwadransik będzie pan mógł wyruszyć.

Skłamałem w duchu panamajorową skwapliwość i pochopność w krwiożerczym dysponowaniu korespondentami. Ale głośno oświadczyłem, że owszem, że ogromnie się cieszę i że mam nadzieję odnalezienia po powrocie jakiejś, chociażby drobnej ilości wyżej wzmiankowanej *whisky*. Przez moment uczepiłem się jeszcze drobnej nadziei w postaci... butów. Oto mam długie buty gumowe, w których nie pójdę przecież na górski patrol. Więc, może by tak odłożyć?

— He, he, he — roześmiał się mjr. K. — to jest drobiazg. Mamy tu kilkudziesięciu żołnierzy i na pewno jakaś dobra para butów dla pana się znajdzie.

Istotnie, znalazła się. Wobec tego już po kwadransie, wsadzony w długi, biały chałat maskowniczy, w przepiślowy hełm i pozbawiony w myśl regulaminu t. zw. kompromitujących papierów („bo to wie pan, do niewoli można się zawsze dostać“) ruszałem na patrolową eskapadę.

Noc robiła się chłodna i mroźna. Śnieg piszczał pod krokami, nogi w cudzych butach ślizgały się po oblodzonej drodze, a przewodnik posuwał się w takim tempie, jakby mu się naprawdę gdzieś specjalnie śpieszyło. Dopóki szliśmy drogą równą, wszystko było jeszcze do wytrzymania. Tragedia rozpoczęła się dopiero przy wejściu na zbocze, pokręcone, strome i niewygodne.

— Ależ ostra góra — warknąłem.

— Ii, tam wyżej dopiero pan zobaczy — pocieszył mnie przewodnik.

I rzeczywiście, im wyżej, tym gorzej. Ścieżka staje się zamazana i niewyraźna, a całe ciało, coraz to cięższe, zdradza oczywistą ochotę powrotu do ciepłego m.p. Przy którymś tam z rzędu odpoczynku przewodnik,

wskazując na ciemne dziury po obu stronach ścieżki, informuje:

— Wczoraj wieczorem dwa muły poleciawszy w ta serpentyna i zabiwszy sia.

Nie chcę być trzecim mułem z kolei i posuwam się z przesadną uwagą. Jeszcze jakieś wzniesienie, znowu zakręt i znowu serpentyna i jesteśmy na szczycie. Nie-wielki rozwalony dom, w podłodze wykopane schrony — m. p. kompanii najdalej wysuniętej w kierunku pozycji nieprzyjaciela.

W jednym ze schronów, wielkości dwóch trumien złożonych razem wita mnie radosny okrzyk dowódcy kompanii i jego zastępcy:

— Nareszcie ktoś ze świata! Co słyszać w Rzymie? Co słyszać w Londynie? Co pan myśli o sytuacji?

Niestety, najwięcej teraz myślę o sytuacji najbliższej a więc o patrolu. Nie ja im, lecz oni mnie udzielają informacji, skąd patrol wyjdzie i po co. W tej chwili brzęczy telefon. Major pyta się o mnie, czy już doszedłem, a potem zaczyna się długa dyskusja na temat jakichś kaczek. Mianowicie pięciu kaczek, które niepokoją wszystkie stanowiska wzdłuż przedpola.

— Bo przedtem było dziewięć — tłumaczy dowódca kompanii. — Cztery złapaliśmy przed kilkoma dniami, a pięć umiera powoli śmiercią głodową. Rozumie pan, że chcemy im skrócić mękę, a przy okazji zjeść dobry obiad. Bo to ten *corned beef*...

Aha, ja także już mam dość *corned beef*u. Zadania patrolu zarysowują mi się zupełnie wyraźnie i już wiem po co mam iść. I jeżeli nie będzie Niemców na stanowiskach, jeśli nie spotkamy nieprzyjacielskiego patrolu, to jednak zawsze pozostanie droga do efektownego i — co tu dużo gadać — miłego sukcesu: kaczki. Dowódca patrolu ppor. Janek P. jest pełen jak najlepszych na-

dziei. Klnie się na prochy przodków, na śniegi Rosji i pustynne hamsiny, że te kaczki dostanie. Żeby tam nie wiem co! I patrol po małej chwili rusza.

Droga jest tym razem inna, niż poprzednio. Zsuwamy się z góry w tempie dość szybkim, czasem nawet błyskawicznym. Z przymusowym zamiłowaniem uprawiam saneczkowanie bez sanek i dzięki temu jestem tuż, tuż na tropach ppor. P. Jest biało od śniegu i sedynowo od świateł reflektorów, które kładą się zza wzgórz za nami szerokimi smugami na niebo i na wzgórze obok nas.

Szeroki pas „ziemi niczyjej“ marszczy się w tym oświetleniu licznymi pagórkami, gajami obliwek, czerni parowami i cieniami od śnieżnych zasp. Dróg już nie ma i prowadzi nas jedna tylko wątła ścieżyna, wydeptana przez patrole poprzednie. Gdzie niegdzie tkwią dwa lub trzy mizerne stogi, z których właściciele już dawno zrezygnowali.

Zza naszych pleców, z okolic punktu dowodzenia rąbią moździerze. Czynią to z zajadłym entuzjazmem, raz po raz. Wiem po co i wiem dlaczego: por. F. dodaje mi w ten sposób odwagi. Oświadcza moździerzowymi głosami, że jest, że pamięta i że nie rozpoczął jeszcze butelki *whisky*, która podobnie jak i on czeka na mój powrót.

Zza wzgórz przed nami zaczynają walić moździerze niemieckie. Ale nie specjalnie. Po prostu, aby dać znak swego istnienia i niejako napomknąć, że one też, w razie czego potrafią.

Ubezpieczenie patrolu, sunące przed nami, kuca nagle na śniegu. Widzimy to wyraźnie, bo ubezpieczenie znajduje się dużo niżej od nas, już prawie w samej linii. Kucamy i my, wypatrując co też mogło zatrzymać nasz pochód.

Na sto jardów z przodu czernieje wysunięty cień. Niemiec! Widocznie czujka nieprzyjacielska. Już sobie zaczynam wyobrażać koncepcje strategiczne, które w tej chwili na pewno kłębią się pod włosami naszego dowódcy, gdy nagle noga usuwa mi się na śniegu, spychając z hałasem sporą lawinkę. Robi się szum w przy-cichłym uprzednio powietrzu i czujka niemiecka przed nami skacze diabelnym susem naprzód. Zając, psia krew.

Śmiejemy się z cicha, gdy wtem z boku, z parowu, znajdującego się o kilkanaście metrów od nas odzywa się nowy głos. Że co? Ależ tak! Bez żadnej wątpliwości słyszymy kacze nawoływania: kwa, kwa, kwa. Por. P. nie wierzy jeszcze własnym uszom, zbiega w dół do parowu, a po tym wraca i rzuca mi się na szyję:

— Kaczki, proszę pana! Jak pragnę zdrowia kaczki! Wszystkie pięć w kupie. A to nam się udało.

Wobec tego olśniewającego odkrycia sprawa Niemców schodzi na plan dalszy, nie mniej jednak trzeba im poświęcić także nieco zainteresowania. Do kaczek wrócimy później, po wykonaniu zadania.

Do zabudowań folwarku, który leży mniej więcej w punkcie centralnym „ziemi niczyjej“ zbliżamy się z wzo-rową ostrożnością. Folwark właśnie jest naszym celem. Chodzi o to, czy nie włóczą się tam przypadkiem Niemcy, względnie czy nie usiłują do niego dochodzić. Posuwamy się od ogrodzenia za stogi, po czym włączymy do dużej obory. W nozdrza uderza dusząca i słodka woń.

— Śmierdzi, jak nieszczęście — mruczy ppor. P. — Tu musi być trochę gnijącego ściernia, co?

— Czy są także ludzie? — pytam.

— E, e, chyba nie. A jeśli nawet, to najwyżej cywile, na Niemców nie było jeszcze okazji.

— Oh, żeby tak choć jednego Niemca rąbnąć—wzdycha strz. Z.

— Cóż ci tak zależy na zabiciu Niemca? — dziwi się dowódca patrolu. — Chodzi przecież o wiadomości, a nie o trupy.

— Albo to, pan porucznik pamięta tę moją wyprawę do tej dziewczynki...

— Aha, tę wyprawę, za którą dostałeś pięć dni z zawieszeniem?

— Właśnie, jakby my tera Niemca zabili, to może by te pięć dni przepadło.

Niemców nie ma jednak ani śladu. Dom stoi rozwalony do piwnicy, obsypany śniegiem i z zewnątrz i z wewnątrz. Z kurnika odzywają się słabiutko kury.

— A może by tak kury zaiwanić? — sugeruję por. P.

On jednak macha lekceważąco ręką. Cóż za zdobycz kury? Nie warto. A poza tym kury są zbyt głośne, a my znajdujemy się za blisko stanowisk nieprzyjaciela. Nie, nie, pójdziemy jeszcze trochę dalej a potem wrócimy do kaczek.

Trochę daje jest też zupełna martwota. Kotlina leży przed nami idealnie gładka, bez jakichkolwiek śladów ludzkiej obecności. Jest najzupełniej oczywiste, że poza nami nikt nie zjawia się w tym terenie, że jest to naprawdę ziemia niczyja, interesująca co najwyżej stanowiska obserwacyjne artylerii i moździerzy.

Wracamy zatem dość szybko, bo mróz się zrobił dotkliwy i poszczypuje solidnie w twarz i ręce. Mijamy folwark, włazimy na własne ślady, dręczeni lekką obawą, czy aby kaczki przewrotnie nam nie uciekły. Na szczęście jednak nie. Złaząc do parowu słyszymy znowu wyraźnie ich pokwakiwanie i ciągłe posuwanie się tu i tam.

— Drepczą widocznie dla rozgrzewki — żartuje ktoś z patrolu.

Plan polowania jest genialnie prosty. Ludzie patrolu staną na brzegu parowozu i będą ubezpieczać całą imprezę przed ewentualnymi niespodziankami ze strony Niemców. Ppor. P. i ja zejdziemy na dół, osaczymy kaczki dwustronnie, no i to wszystko.

Kaczki jednak nie chcą zgodzić się z wyrokiem śmierci. Podnoszą nagle taki wrzask, że musimy zaprzestać całej zabawy. A nuż Niemcy usłyszą? Ale przedpole pozostaje nadal ciche i martwe. W pewnej chwili jedna z kaczek wyrывa naprzód i biegnie ze sto metrów dalej. Dowódca patrolu goni ją zaciekle i w końcu dopędza. Jeszcze parę minut i drapiemy się ze zdobyczą pod górę.

Jest jaśniej, niż przedtem. Kilka nowych świateł reflektorów wypada zza łańcucha naszych stanowisk. Ppor. P. mruczy zadowolony i pogwizduje co chwila. Ma powód do zadowolenia. Patrol istotnie został uwieczniony sukcesem.

Światła reflektorów schodzą z nieba na ziemię i pełzają po niej, tworząc długie, jasno-zielone korytarze. Znowu odzywa się ze swymi mózdzierzami por. F. i wtóruje mu tym razem nasza artyleria. Strzela także artyleria niemiecka. Na prawym skrzydle odezwały się jazgotliwym tenorkiem *Spandau'y*. Jest coraz głośniejsze i głośniejsze. Lecz nie za bardzo.

— To nie jest jeszcze wojna—myślę sobie—to jest...— szukam odpowiedniego słowa i nie mogę go znaleźć. Jakby określić ten stan, tę rzeczywistość, równocześnie wojenną i niewojenną sytuację na przedpolu? Pnę się pod górę i męcę się podwójnie: z terenem i ze słowem, które trudno znaleźć.

Na szczycie przystaję, uderzony obrazem, jaki nagle roztoczył się przed nami.

— Popatrz pan na te góry — mówię do ppor. P.

On zaś kiwa głową na znak, że rozumie. Ale nic nie mówimy do siebie, bo cóż znaczy każda rozmowa, wobec widoku, który ja osobiście uważam za największy sukces naszego patrolu? Szczyty gór przed nami mają kolor granatowy i zlewają się w jedną całość z granatem nieba. Gdzieś z boku wypryskują nieregularne, seledynowe światła reflektorów, ujmując grzbiety górskie w jakieś ogromnych wymiarów ramy. Im niżej, tym zbocza stają się coraz wyraźniejsze, coraz bielsze od śniegu i bardziej błękitne od mrozu. Nieregularne linie gajów i drzew przypominają naszyjnik, całe rzędy naszyjników, nałożonych na wysmukłe szyje gór. Pod nogami ziemia urywa się, biegnąc w dół nieprzeniknioną czernią.

Nad głową wibrują i śpiewają cienkim, wiolonczelowym głosem pociski moździerzy. Od czasu do czasu prostacko parska artyleria. Z dołu w dalszym ciągu grzechoczą *Spandau'y*...

Nagle odnajduję zagubione słowo, którego szukałem, pnąc się na szczyt.

— Tak, to nie jest wojna — mówię cicho — to jest tylko tło wojny. Tło, które czeka na wojnę. Tło, które jednym pozwala odpocząć, a innym przygotować się do wojny, mającej już wkrótce tu zejść.

— To znaczy tło, które jest dla nas — uśmiecha się ppor. P. — To my mamy odpocząć i my mamy przygotować się.

* *

Kaczki zostały podzielone sprawiedliwie. Pierwszą dostał patrol, drugą szef kompanii, trzecią dowódca patrolu, czwartą mjr. K., a ja piątą. Na drugi dzień, celem skonsumowania kaczek zjawiała się na punkcie dowodze-

nia spora gromadka zaproszonych i niezaproszonych gości. Uprzejmy mjr. K. dorzucił do menu jeszcze jedną kurę, no i trochę — już chyba dla zasady — *corned beef'u*. Alkohol był taki i owaki, z butelką wciąż obiecywanej *whisky* na czele. Tadeusz Zajączkowski, współkorespondent wojenny, współgość i współwłóczęga wystąpił z rewelacyjnym twierdzeniem: ,

— Mój przyjaciel Marek poszedł na ten patrol po kaczki tylko i wyłącznie dlatego, aby mi zrobić przyjemność. Dzisiaj bowiem są moje urodziny.

— A, a, a! — wykrzyknęli z podziwem goście.

Ja zaś byłem tak zdumiony, że nie zdołałem nawet zaprzeczyć. To pięćdziesięcioletnie pacholę naprawdę ma tupet.

Do obiadu zasiedliśmy gwarnie i gęsto. Był dowódca „Wileńskiej“ ppłk. J. i jego zastępca ppłk. G., spora wiązanka dowódców kompanii, bukiecik *outsiderów* z odcinków i skłonność mówienia o odcinku. Przełamałem tę tendencję dość szybko, mówiąc o Arnhem i nie dając się zagłuszyć.

Gdy w godzinę po tym zjeżdżaliśmy do tyłu, zegnały nas salwami moździerze.

— Niemcy zapewne głowią się nad tym, co ma znaczyć ten hałas — oświadczyłem towarzyszom podróży. — Myślą, czy to aby nie przygotowanie natarcia. Albo już co najmniej jakiś wstęp do huraganowego ognia na całym odcinku. A przecież to tylko por. F. nas żegna i zaprasza na następną z kolei wizytę.

GDY „SPOKOJNY“ FRONT HAŁASUJE...

Front włoski, luty, 1945.

Głośny okrzyk: — „Uważaj, łajzo jedna, bo cię z marmra nie wypuszczę.“ — łazik zarzuca w prawo, niemal że uderza w ścianę domu i nagle znów wyprostowany długim susem skacze naprzód. „On“ już nas nie dogoni. Został ze swoim gniewem, nawiasem mówiąc jak najbardziej uzasadnionym, z poharatanym motocyklem, no i z wysoką godnością żandarma w służbie. W każdym razie opuszczamy m. p. dywizji „Kresowej“ nie bez przygód: mocno stuknięty pies szefa sztabu, muśnięty nienajgorzej błotnik wozu z dowództwa armii i na końcu ten żandarm.

— Ta pan sam jest świadkiem, że nie było w tym mojej winy — tłumaczy się kierowca. — Mieścina, można powiedzieć, parszyweńka, wozów masa i jak tu przejechać bez wypadku?

Kiwam potakująco głową i zgadzam się ze wszystkim, za wyjątkiem tego psa. Zawsze lubiłem zwierzęta. Co zaś do żandarma... Sporo protokołów zrobili mi w mojej wojskowej karierze żandarmi. Sam rozumiesz, Drogi a Wojskowy Czytelniku...

Dzień jest jasny i słoneczny. Słońce załamuje się na niepokalanej bieli śnieżnej zboczy górskich i odbija się w przelicznych sadzawkach, które potworzyły się na

wyboistej i nieprzyzwoicie zniszczonej drodze. Jest zima i wiosna równocześnie. Zima na górze, błotnista, lepka wiosna pod kołami łoża. Błoto szmerze i przewala się w koleinach, woda pryska z wigorem, ochlapuje cały wóz i jego pasażerów.

Już po pierwszym zakręcie wyłaniają się tablice ostrzegawcze: „Droga pod obserwacją nieprzyjaciela“. „Droga pod ostrzałem“. Na topniejącym śniegu po bokach widać duże, czarne plamy. Wygląda tak, jakby ktoś ten śnieg osypał sadzą i popiołem. Tak właśnie posypywano w dniach zimy ulice w miasteczkach wschodniej Polski, aby ustrzec ludzi przed gołoledzią. Plam tych jest sporo i im dalej jedziemy, tym ich ilość się pomnaża. Droga istotnie jest pod ostrzałem. Nie tylko widzimy ślady tego ostrzału: oto nagle gwizdze pocisk nad nami i zarywa się o jakieś sto metrów na stoku góry. Nie ma rady, trzeba wziąć dobry gaz i przejechać jak najszybciej przez ten niewygodny odcinek.

— Dranie wszystko widzą — mruczy kierowca. — Ja już znam tę drogę. Ile razy pokaże się choć jeden wóz, to zaraz walą. Że też, cholerom, amunicji nie zabraknie.

„Cholerom“ amunicji nie zabraknie na pewno, natomiast my musimy zwolnić tempo jazdy. Oto przed nami pełźnie leniwo trzytonówka, obładowana aż po dach jakimiś pakami. Wdzięcznie kolebie się z boku na bok i wlecze się, jak na wygodnym spacerze w Szkocji. Usiłujemy ją parę razy wyminąć, ale jest to zupełnie niemożliwe. Wąska droga stała się jeszcze węższa, z prawej strony mamy strome, prostopadłe zbocze górskie, z lewej ziemia urywa się nad przepaścią. Klniemy i Niemców i trzytonówkę. Niemcom nasze złe myśli o nich zapewne nie przeszkadzają, bo ogień artylerii wzmaga się, a pociski są coraz bliższe. Natomiast trzytonówka nagle staje. Koła wpadły w głębszą koleinę.

Trrrrrach... — warczy motor. Na nic. Wóz ugrzązł na dobre. Wyłazimy z naszego łożnika, pasażerowie dalszych łożników też przyszedli. Zaczyna się skomplikowany zabieg wyciągania ciężarówki. Idą w ruch łańcuchy. Jesteśmy wszyscy obryzgni błotem tak, że nam oczu nie widać, artyleria niemiecka wali z dzikim entuzjazmem. W końcu zostawiamy pechowy wóz i zwiewamy z powrotem. Najwyższy czas: zaledwie dobrnęliśmy do zakrętu, dwa nareszcie celne pociski zapalają trzytonówkę.

— Macie trochę szczęścia — odwracam się do dwuosobowej załogi pechowego wozu, którą przygarnęliśmy na nasz łożnik.

— Papierosy tam byli — mruczy z żalem jeden z nich.

Oczywiście, szkoda papierosów. Ale bardziej jeszcze w tej chwili żałuję drogi, którą straciliśmy. Awanturujemy się teraz po jakichś wertepach już zupełnie niewiarygodnych. Zjeżdżamy w dół nieomal pod kątem prostym. Żołądek skacze i podchodzi pod samo gardło. Całe ciało jest narażone na ciągły, a dotkliwy kontakt z metalowymi częściami wozu. Ale za to ta bardzo niekomfortowa serpentynka ma dużą zaletę: nie jest pod obserwacją i po poprzednich paru kwadransach artyleryjskich popisów nieprzyjaciela, pozwala na lekkie odprężenie.

Jesteśmy już w samej kotlinie. Co kilkanaście metrów mijamy spore kupki kamieni i gruzu: tu była wioska. Ludność tej wioski, a także i nasze wojsko mieszka w jaskiniach. Zatrzymuję wóz i włączę do jednego takiego skalnego legowiska. Ciemno, trochę słomy pod ścianami, sporo koców. Małe ognisko przy wejściu kopci i dymi strasznie.

— Iii, do wszystkiego można się przyzwyczaić, proszę pana — macha lekceważąco ręką sierżant na moje wy-

razy ubolewania. — Wiadomo ciężko, ale za to jest trochę spokoju. Odpoczywamy.

Istotnie wojsko czyści broń, ktoś inny z zapalem pucuje buty.

— To na przepustkę — objaśnia sierżant. — W B. wyświetlają dzisiaj film, niech się chłopaki przewietrzą.

„Chłopaki“ jednak, jak na film zbyt starannie się czeszą i wkładają krawaty. Widocznie wietrzą, że *signoriny* też zainteresują się popisami „Dziesiątej Muzy“ w przyfrontowym miasteczku.

Jedziemy dalej. Mijamy most — nie „bailey“, prawdziwy most — którego Niemcy nie zdążyli zniszczyć i zajeżdżamy z fantazją przed punkt dowodzenia jednego z batalionów.

— Eee, ma pan jeszcze dużo czasu — mówi mi na punkcie dowodzenia zastępca dowódcy batalionu. — Po cóż tak zaraz od razu iść na punkt obserwacyjny? Posiedzimy, pogadamy.

— Wolałbym jednak pójść teraz, panie kapitanie — upieram się.

Kapitan jest wyraźnie zakłopotany. Nie wypada mu tak prosto z mostu nawymyślać ledwo co przybyłemu gościowi, szczególnie, że w „Kresowej“ gościnność jest rzeczą świętą, z drugiej jednak znowu strony byłby niemal szczęśliwy, gdybym nie obstawał przy swoich planach.

— Bo widzi pan — tłumaczy — samo wejście pod górę, na której jest punkt obserwacyjny to nic. Najwyżej się pan zmacha, bo góra wysoka. Ale stok jest całkowicie zakryty przed obserwacją nieprzyjaciela. Bieda jest dopiero na wierzchu, gdzie trzeba przebiec ładnych kilkanaście metrów na kompletnie odkrytej przestrzeni. Szwaby wszystko widzą i broń Boże jeszcze zauważą...

Jestem wzruszony troskliwością kapitana o całość mo-

jej osoby. Zapewniam go, że nic mi się nie stanie, bo ja mam szczęście. On jednak otwiera ze zdumienia szeroko oczy.

— Panie złoty, mnie o pana wcale nie chodzi. Jak pan prędko biega, to oni i tak nic nie robią. Ale zauważą, łachudry, że tam ktoś się włóczy. A jak zauważą, to będą łupić, bo przecież durniami nie są i domyślą się, że tam jest nasz punkt obserwacyjny.

W końcu jednak, po różnych zakłękciach i obietnicach, aczkolwiek z dużą niechęcią, kapitan zgadza się, abym poszedł teraz i nie czekał na nadejście nocy, bo, przecież, istotnie nic w nocy nie zobaczę.

Ruszam zatem w drogę z Adamem Chruścilem, przedsiębiorczym fotografem Dywizji Kresowej. Tematów do zdjęć jest pełno. Wojsko naprawia drogę. Samoloty znowu rzucają ulotki na nas, zamiast na Niemców. Tu i ówdzie okopują moździerz na nowych stanowiskach i Chruściel prosi o parę odpaleń.

Potem wspinamy się pod górę w śniegu po kolana. Słońce i śnieg oślepiają. Jest bardzo jasno i bardzo bez-trosko. Nic nie przypomina wojny, bo nawet moździerze ucichły, a niemieccy artylerzyści poszli zapewne na obiad, jako że jest po temu odpowiednia pora. Im wyżej jednak, tym radość się zmniejsza. Góra staje się coraz bardziej prostopadła i wciąż nie ma końca.

Z szacunkiem myślę o ludziach, którzy co noc łażą tędy, tam i z powrotem. Nie tylko łażą, ale i przenoszą ciężary: żywność, wodę, amunicję. A takich gór, wysuniętych stanowisk i punktów obserwacyjnych jest przecież sporo. Dziesiątki, nie — setki ludzi noce spędza na górskich wędrówkach. To się nazywa służba i wojna bez efektu. Kulisy wojny, jej — żeby tak powiedzieć — schody kuchenne, o których ludzie siedzący wygodnie z dala od frontów nic nie wiedzą.

Wreszcie wczłougujemy się na szczyt. Góra kończy się owalną i otwartą przestrzenią, na której skraju, o jakieś dwadzieścia metrów od nas wynurzają się ze śniegu osmalone ściany i krokwie zabudowań. Punkt obserwacyjny. Kulimy się, sprężamy się w sobie i jak dwa niewprawną ręką z kiepskiej procy wypuszczone kamienie podskakujemy naprzód. Chyba nie zdążyli nas zauważyć, bo nie strzelili ani razu.

Punkt obserwacyjny jest właściwie dużą szopą bez dachu, o paralitycznie powykrzywianych ścianach. Pracowicie pogłębiono szopę, wyrzucając ładny kawałek ziemi, zmarzniętej na kamień, na zewnątrz. Pościągano słomę, na której teraz leżą śpiwory i koce, ustawiono dwa miniaturowe piecyki po środku i w tym wszystkim się mieszka.

— Nie jest tak źle — stwierdza por. Stanisław U., obserwator artyleryjski — szczególnie dzisiaj, kiedy mamy tak ładną pogodę. Gorzej się dzieje, gdy pada śnieg, bo, jak pan widzi, dachu ani śladu.

Poprzez jakieś śpiące postacie, poprzez tak ciemną dziurę w murze, że, zdawałoby się, jamnika się przez nią nie przesadzi — przełazimy na drugą stronę szopy. Jesteśmy w małym sześciacie komiennej przybudówki i pakujemy ciekawe twarze w niewielki prostokąt, skąd widać całe przedpole.

— Hej, hej, mili goście — zżyma się por. U. — Nie za blisko, bo zauważą. I proszę nie palić papierosów, gdyż taki dymek wyłazi na zewnątrz, a „oni“ też mają lornety.

Opieram więc moją lornetę na krawędzi prostokątnego otworu i ogarniam wzrokiem przestrzeń. Całą „ziemię niczyją“. Cały pas, który odgradza nasze stanowiska od niemieckich.

Jest to duża kotlina i wygląda jak dno miednicy. Do-

koła góry, w środku płaszczyzna, przecięta wąską, nie-regularną, błyszczącą w tej chwili słońcem linią rzeki. Z gór spadają ku kotlinie, jak zielone chodniki różnorodnego kształtu i różnej wielkości długie języki lasów, gajów, zarośli. Na dnie doliny widzę parę folwarków, a nad samą rzeką rozłożyła się nawet górską niewielka wieś. W tej chwili to wszystko robi wrażenie makiety filmowej. Dekorację skończono robić, teraz czas tylko na aktorów. Bezruch i bezwład na przedpolu jest kompletny, przez tę ciszę i zupełny brak jakiegokolwiek ruchu cała „ziemia niczyja“ wygląda bardziej jak stół plastyczny, niż jak rzeczywisty teren rzeczywistego frontu.

Na tamtym brzegu miski, na zboczach gór, wyrasta miasto. Typowe miasto włoskie, o charakterystycznym budownictwie; a więc domy budowane terasowato jeden nad drugim, a więc wąskie i kręte uliczki, a więc dziwna linia dachów, które razem tworzą schody ogromnych rozmiarów, ginące gdzieś w błękitnej dali widnokręgu. W mieście też nie ma żadnego ruchu. Mogę obserwować dokładnie główną ulicę, na której stoją jakieś wozy.

— Który domek pan woli? — pyta podchorąży G., obserwator mózdzierzy.

Nie rozumiem pytania i muszę mieć naprawdę zdziwioną minę, bo obaj obserwatorzy uśmiechają się złośliwie.

— No — niecierpliwi się por. U. — w jaki domeczek pan chce, żebyśmy rąbnęli? Może w tę grupkę czerwonych, albo znowu w te żółte? Różnicy nie ma żadnej, bo wszędzie są Niemcy.

Po dłuższy wpatrywaniu się, wybieram dużą, bezbarwną kamienicę, wiszącą na zboczu, trochę ponad miastem.

— Ma pan dobry gust — chwali mnie podchorąży. — Według naszych przewidywań znajduje się tam dowództwo.

Obaj obserwatorzy odchodzą do telefonów. Szybko padają określenia i dokładne oznaczenia „mego“ obiektu. Przy okazji niejako obserwatorzy dodają jeszcze inne punkty. Jak zabawa, to zabawa.

— Położymy ładny ogienek na miasteczko — mówi pieszczotliwie podchorąży, stając znów koło mnie. — Już dawno nie daliśmy „im“ dobrej szkoły. Mieli odpoczynek prawie dwunastogodzinny. Niech się teraz pomartwią.

Znowu przykładam lornetkę do oczu. Z tyłu za nami słyszać przytłumiony huk, po nim drugi, trzeci, dziesiąty. Wstrząsy idą falami i falami idzie świst pocisków. Wydaje się, że ziemia drga i drga na pewno powietrze. Potem przeciągłe gwizdy nad głową — to wędrują pociski. Wreszcie — „mój“ dom otula niewielka, czarna mgiełka. Wyrastają za nią kolejno słupy dymów, w górę lecą kamienie, belki i gruz.

— Przyniósł nam pan szczęście — stwierdza ppor. U. — Jeszcze nigdy tak ładnie nie trafiliśmy tej chałupy.

A „chałupa“ na naszych oczach przestaje istnieć. Rozłazi się w zmętniałym nagle powietrzu wraz z dymami po wybuchach pocisków. Obok niej przestają istnieć inne. Cała część miasta odbywa dziki taniec ku górze, a później wali się na ziemię. Trwa to minuty, potem kwadranse. Celnie położony ogień artylerii i moździerzy przesuwają się zwolna, lecz konsekwentnie z prawego skrzydła miasta na centrum, owijają to centrum ruchem dookołnym i grzmoci z ponurą nieustępliwością. Ogień taki musi dać rezultaty — widzimy jak z zakamarków i domów wysuwają się drobne punkciki i szyb-

kim truchtem uciekają do tyłu. Wykurzamy Niemców z miasta!

Nagle w środku wybucha ogromny płomień, bez porównania większy od dotychczasowych. Musieliśmy trafić jakąś amunicję, gdyż wybuchy teraz idą jedne za drugimi całymi seriami. Miasto pali się i oto już nie ma pojedynczych czarnych obłoczków, ale jest jedna wielka chmura, snująca się nad dachami i zamykająca przed nami cały horyzont. Nawet obserwatorzy są zdziwieni.

— Opląca się wam gościnność, co? — mówię chełpliwie.

Ale nie ma czasu na radość. Przez telefony idą dalsze, szybkie rozkazy. Trzeba okazję wykorzystać do końca. I już z lewej strony miasta zaczyna się inna nawała. Nawała również idzie na przedpole, które nagle się ożywia. Z folwarku, rozsiadłego nad rzeką uciekają ludzie, z zarośli tuż przed samym miasteczkiem wyrywają wozy: cały niemiecki odcinek frontu rusza się i wycofuje, nie — po prostu ucieka, ucieka obłędnie od tyłu.

Już nic nie widać. Jest tylko jeden duży obłok dymu i długie, wąskie pasy płomieni. Schodzimy z punktu obserwacyjnego, natarczywie nagabywani przez starszego strzelca F.:

— Już panowie napatrzywszy się, taj dosyć. Naleśniki ostygłszy na kamień.

Naleśniki są świetne i wcale nie „ostygłszy“. Pomińmy, że zasadniczo jesteśmy po obiedzie, konsumujemy nieprzytomne ilości tych naleśników, a potem, zupełnie bez sensu, zażeramy się kiełbasą.

— Prawdziwa wileńska — zachwala st. strz. F.

Nie dane jest nam jednak zjeść tę kiełbasę do końca. Gwałtownie jakiś pocisk ląduje na naszym szczycie i szopa trzeszczy niepokojąco.

— Czyżby nasi nie dopasowali tym razem? — dziwi się podchorąży.

Dopasowali dobrze, ale nie nasi. Ta góra, góry sąsiednie, dolina za nami, gdzie znajduje się punkt dowodzenia batalionu, wszystkie drogi dokoła, słowem tym razem my, tym razem nasze stanowiska i komunikacje trafiają pod ogień. Niemcy otrząsnęli się z pierwszego zaskoczenia i rozpoczynają odwet. Nie mają jednak biedacy szczęścia, może też dlatego, że nie mają tak ładnego obiektu, jak my, w postaci ich miasta...

...Na punkt dowodzenia batalionu wracam późnym wieczorem. Jest już cisza z naszej strony i z ich, ale w uszach wciąż jęczą odgłosy eksplozji.

— Ładny, spokojny front — myślę ze złością — człowiek pozbierać się nie może od tego hałasu.

Przed punktem dowodzenia zastaję małe grupki żołnierzy ubranych w długie, białe chałaty: za chwilę patrole wyjdą w teren. Po głośnych pojedynkach artylerii i moździerzy, przyjdą spotkania na mniejszą skalę. Rozszczekają się jazgotliwym ujadaniem karabiny maszynowe. Roztrzeszczą się kibicowato Steny. Jeńcy opiszą nam dokładnie, jak się czuli w miasteczku pod symfonią naszych pocisków.

Inne patrole pójdą w ciszy i będą unikały spotkania: ich zadaniem będzie minowanie przedpola i zastawianie pułapek.

A jutro oficjalny komunikat opíše to zwięźle i treściwie: „Na odcinku Drugiego Korpusu sytuacja bez zmian. Ogień artylerii i akcja patroli“.

Prawda, jakie to nudne, Drogi Czytelniku?

WRAŻENIA WŁOSKIE

Rzym, marzec 1945.

Pierwsze witają dziś we Włoszech niewczesnego turystę — ruiny. Ruiny okalają spalonymi kikutami lotnisko i jeszcze przed lądowaniem wyskakują czernią z anemicznej, zimowej zieleni dookolnych ogrodów. Później bramują drogę do miasta i wypełzają co paręset metrów, wyciągnięte z ciemności jaskrawymi światłami samochodowych reflektorów. Wreszcie przechodzą w jednolitą gęstą całość neapolitańskiego przedmieścia.

Ruiny, cokolwiek by o nich człowiek obcy myślał, nie są ani całkowicie pozbawione życia, ani zupełnie opustoszałe. Tu i ówdzie błyskają przez szpary okien i drzwi jakieś światła. Czasem na piętrach, czasem na parterze, zależy od tego co z tych domów uchroniło się przed zniszczeniem, co ocalało na tej przestrzeni, zrąbanej artylerią i lotnictwem. Tu i ówdzie pętają się jacyś ludzie, tak wyniszczeni i tak obdarci, że nawet w przypadkowym i pośpiesznym błysku reflektorów widzi się ich biedę, ich nędzę, ich kompletne zaniedbanie. Widzi się zaś jeszcze dokładniej, wychodząc na ulicę Neapolu, w wieczór głośny od sygnałów i klaksonów samochodowych, od wrzasku handlarzy pomarańczami,

od niezbyt trzeźwych, żołnierskich piosenek. Wieczór jasny od światła aut i jaskrawych lamp nad wózkami sprzedawców. Pomimo późnej pory, chuderlawe dzieci siedzą na chodnikach pod ścianami domów, chwytając natarczywie za płaszcze przechodniów i jeszcze natarczywiej domagając się jałmużny. Dziwki, dziesiątki dziwek, spędzonych tu chyba ze wszystkich okolic Neapolu, a kto wie, może nawet z przyległej Sycylii, blokują chodniki i składają oferty coraz to bardziej nęcące i w coraz to liczniejszych językach Europy. Nawet mamroczą coś po polsku.

Brnę coraz dalej i coraz głębiej w Neapol, zostawiam za sobą śródmieście, ulice są coraz węższe, coraz bardziej pokręcone, cichsze i ciemniejsze. Z zamkniętych szczelnie domów nie dolatuje żaden odgłos życia. Nie mija żaden przechodzień. I dopiero na małym placyku słyszę kroki, potem błysk latarki i głośne halt. Dwóch żandarmów brytyjskich zgłasza się do mnie z jakimiś pretensjami, żąda dowodów i w ogóle robi wszystko, abym zrozumiał swoją wielką winę. Aha — out of bounds. Dzielnica zakazana dla żołnierzy alianckich. Mój krótki, zaledwie dwugodzinny pobyt we Włoszech, moja nieświadomość tutejszych zwyczajów i wreszcie nienaganne legitymacje i stempelki znajdują usprawiedliwienie w oczach żandarma.

— Powinien pan jednak w przyszłości uważać — mówi jeden z nich. — Różne są powody, dla których dzielnice, ulice, czy nawet poszczególne lokale znajdują się out of bounds. Czasami... ze względu na bezpieczeństwo. Można nieraz z takich miejsc nie wrócić. Poza tym boimy się chorób zakaźnych.

Wyprowadzają mnie z zakazanego obszaru zupełnie inną drogą i oto zostaję sam na rogu dwóch dużych ulic i zupełnie nie orientuję się, jak mam trafić do mego

hotelu. Na szczęście na skrzyżowaniu stoi włoski policjant.

— Czy może pan mi wskazać drogę do hotelu Nationale? — pytam po francusku.

Otrzymuję bardzo uprzejmą odpowiedź, że nie. Francuszczyzna policjanta jest zdumiewająco bezbłędna. Świetny akcent wyszukane słowa przeproszeń. Korzystam z tego i głosem pełnym urazy stwierdzam, że — ostatecznie — policjant jest od tego, aby wiedział, gdzie co jest i aby umiał wytłumaczyć każdą drogę.

— Zechce mi pan wybaczyć — tłumaczy się opiekun publicznego porządku, — ale ja bardzo niedawno jestem w Neapolu, a jeszcze krócej pełnię obowiązki policjanta. Przed wojną nigdy sobie nie wyobrażałem, że w ten sposób będę zarabiał na kawałek chleba. Niewielki zresztą, proszę pana, kawałek, bardzo niewielki...

— A cóż pan robił przed wojną?

— Byłem radcą prawnym jednej z naszych ambasad.

Trudno, musimy razem poszukać fachowego Neapolitańczyka. Idzie to jednak dość opornie. Każdy zainterpelowany tubylec zaczyna sakramentalną prośbę: *cigarette*, poczem wkłada palec do ust, aby nie było żadnych wątpliwości. Dopiero po otrzymaniu papierosa okazuje się, że tubylec nie jest tubylcem, ale prowincjonalnym tłumokiem, ze spalonej wsi czy zniszczonego miasteczka i nic, rzecz prosta, nie wie o geograficznym położeniu mego hotelu.

— *Voilà, monsieur le Polonais*, tak oto wyglądają współczesne Włochy — usiłuje znaleźć syntezę eks-dyplomata.

...W świetle dnia Neapol poprawia sobie swą reputację i swe pierwsze wrażenie. Śródmieście jest nie-
tknięte. Tłumy ludzkie przewalają się na chodnikach i na jezdniach. Włosi nie mają żadnej dyscypliny ulicz-

nej, nie reagują na sygnały świetlne na skrzyżowaniach, ani też na klaksony aut. Przejechanie przez wąskie ulice, zmuszenie do zejścia na bok gestykulujących i krzyczących grupek ludzkich, albo upartych i obojętnych na wszystko osłów, albo psów lub kotów, wylegujących się ze wspaniałą bezmyślnością na słońcu — jest naprawdę zadaniem na miarę akrobaty.

Ściany domów, mury słupy pokrywają różnobarwne plakaty z szumnymi wezwaniami: Ludu włoski! Młodzieży Italii! Wielki Narodzie! i t.p. i t.p.

Podpisy są podpisami partii, ugrupowań, rozmaitych komitetów „przyszłości Włoch“ lub „publicznego ocalenia“, albo też „wolności i szczęścia dla wszystkich“. Staram się coś z tego wylapać, znaleźć jakieś strzępy programu, czy też żdźbła koncepcji. Na próżno. Nie ma w tym nic, same frazesy, wezwania do bliżej nieokreślonego czynu, zapowiedź niczym nieuzasadnionych przełomów. Jedynie proklamacje włoskiej partii komunistycznej są logiczne i konsekwentne. I pełne gróźb. Zapowiadają karę dla faszystów i „wszystkich ich pomocników“. Obiecują „prawdziwą demokrację“. Stwierdzają, że tylko komunizm da Włochom wolność i szczęście. Gazety komunistyczne, które przeglądam po ulotkach, poświęcają dużo miejsca sprawom bałkańskim, reasumując z zadowoleniem, że „Bałkany dźwigają się z otchłani upadku i wkraczają w nowe, radosne i szczęśliwe życie“. Znana, dobrze znana terminologia...

* *

Pierwsze zetknięcie z ulicą Wiecznego Miasta należy do denerwujących. Irytuje niesforny sposób wałęsania się Włochów po chodnikach i jezdniach, drażni wrzask przechodniów, ich nerwowa gestykulacja, ich lekcewa-

żenie w stosunku do wszystkiego co idzie, przechodzi, lub jedzie. W wąskich uliczkach i zaułkach, tuż obok wielkich placów i głównych ulic, bije w nozdrza zapach smażonej oliwy, woń brudnych mieszkań i smród odpadków. Ale to wszystko trwa może kwadrans, może dwa, może godzinę najwyżej. Ponad niesforność i hałas, ponad wojenną biedę i ponad wojenny brud, wybija się niezniszczalna i melancholijna majestatyczność miasta, powaga jego tradycji, różnorodność jego architektury. Przychodzi inne wrażenie, które trwa o wiele dłużej i już pozostaje na stałe: wrażenie ciągłych kontrastów. Colosseum i Palazzo Venezia, Forum Romanum i nowoczesne, z ogromnym rozmachem planowane i rozpoczęte dzielnice, ciasnota, wilgotna ciemność przywatykańskich uliczek i ogrom placu i Bazyliki Świętego Piotra. Obdarci, zarośnięci ludzie w zaułkach i wytwornie, czasem nawet bardzo elegancko ubrane tłumy na Piazza Spagna, lub Corso Umberto. Skrajne ubóstwo małych, popularnych restauracyjek i przepych Opery Królewskiej.

Kontrasty sięgają jeszcze głębiej, może nawet w każde prywatne życie ludzkie w Rzymie. Nowoczesne, komfortowe mieszkania w nowych dzielnicach Rzymu imponują swym rozmachem i luksusem. Nie ujrzymy takich mieszkań ani w Paryżu, ani w Brukseli, nie było ich nawet w snobistycznym Budapeszcie, nie ma ich, oczywiście, w Londynie. Marmury pokrywają ściany, okna wznoszą się na wysokość całych pięter, nogi więzną w dywanach. Ale to wszystko jest udręką w zimne dni surowego stycznia czy lutego, przy braku opału. Groteskowo i smutnie wyglądają pamiątkowe rodzinne srebra przy obiedzie składającym się ze spaghetti, pomarańczy i wina.

Kontrasty spotykam na każdym kroku. We wnękach,

niszach i szczątkach rzymskich łóż Colosseum Amerykanie ściskają miejscowe piękności. Na kamiennej barierze nad areną siedzi kilku Murzynów i obcasami wybija na murze takt jazzowych melodii. Murzyni też włączają się tłumnie po Forum z właściwą sobie hałaśliwą ciekawością i tępą nonszalancją, która specjalnie w tym miejscu i w tych warunkach złości i — niewątpliwie — żenuje.

Wydaje mi się, że Włosi wyjątkowo małym entuzjazmem darzą Murzynów. Przewodnicy w Colosseum, czy na Forum Romanum starają się nie patrzeć na swych czarnych sprzymierzeńców.

— Cóż z tego wyjdzie panie? — pyta mnie z widocznym zaniepokojeniem w twarzy przewodnik, wskazując na dwie swoje rodaczki, które dość beztrząsco flirtują z dwoma Murzynami na gruzach świątyni Westalek.

Kontrastem jest miła, starsza, w kosztowne futro ubrana pani, która stoi na rogu z obrazem w ręku. Obraz jest na sprzedaż, cena dwa tysiące lirów, dokładnie tyle, ile kosztuje przeciętny obiad w cywilnej restauracji. Kontrastem jest szczupły, przyzwoicie ubrany pan, który co parę kroków schyla się i zbiera na ulicy niedopałki papierosów. Kontrastem są skromne w kolorach i odznakach, nie zawsze czyste i bardzo rzadko odprasowane mundury amerykańskie w zestawieniu z bogactwem i złotem odznak włoskich oficerów. Kontrastem są pędzące po ulicach z nieprzytomną szybkością amerykańskie jeepy i bardzo stare, sfatygowane rzymskie dorożki. Kontrastem są sztabowe limuzyny i zabytkowe karety.

Zabłądziłem w labiryntach uliczek i zmarzłem w czasie łagodnej włoskiej zimy. Podchodzę do jednej z karet w zamiarze wrócenia nią do hotelu, ale właściciel antycznego wehikułu podnosi wielki wrzask:

— Tylko dla żołnierzy z signorami — krzyczy — dla pojedynczych są dorożki!

Przypadkowo poznaję jedno z praw zwyczajowych wojennego Rzymu i dowiaduję się poco są karety...

* *

Na tematy polityczne Włosi rozmawiają niechętnie. Tak samo niechętnie odpowiadają na pytanie: co będzie dalej? W tej nieufności w stosunku do obcych i w niechęci do poruszania drażliwych zagadnień jest niewątpliwie wieloletnia tresura faszyzmu. Mimo, że już tyle miesięcy minęło od formalnej likwidacji partii faszystowskiej we Włoszech, pozostało nadal i wciąż tkwi wewnętrzne przekonanie, że nie o wszystkim można mówić bezpiecznie, że nie na wszystkie pytania należy odpowiadać. Jest także często i prawdziwa nieświadomość, co będzie dalej i jak należy postępować.

Pewnego dnia miałem spotkanie z czterema profesorami rzymskiego uniwersytetu. Wszyscy czterej należeli do rzędu uczonych bardzo wysokiej klasy, a ich nazwiska są znane nie tylko w sferach naukowych. Pierwsze zastrzeżenie, jakie zrobili było, abym uważał naszą rozmowę za ściśle prywatną. Nawet poufną, jak dodał jeden z nich. Drugie — abym nie publikował ich nazwisk. Rzecz prosta, że zastrzeżenia te nałożyły mnie na rewelacje. Z góry zacząłem sobie wyobrażać, że złapałem, mówiąc żargonem dziennikarskim szlagier. Tymczasem najpierw były pytania. Rozmawialiśmy w parę dni po ogłoszeniu Deklaracji Krymskiej, a więc rzymscy profesorowie specjalnie interesowali się reakcją polską na uchwały w Jałcie. Niejako wyjaśniająco dodawali, że od tej reakcji zależeć będzie nie tylko los Polski.

— Bo widzi pan — powiedział jeden z nich — z dwóch państw, na które nacisk był największy, Jugosławia już wybrała swoją drogę. Jaka będzie droga Polski?

Po wyczerpaniu tego tematu, ja z kolei zacząłem pytać panów profesorów. I tu dopiero miałem sposobność podziwiania ogromnej wstrzemięźliwości i niesłychanego taktu, jeżeli chodzi o sprawy wewnętrzne Włoch i wspaniałej równowagi w wypowiedaniu sądów o przyszłości. Z żalem pomyślałem, że wielu Polaków nie potrafiłoby tak rozmawiać z cudzoziemcem. A cóż dopiero — z cudzoziemskim dziennikarzem.

Natomiast o wiele więcej i o wiele bardziej chętnie mówili profesorowie o uniwersytetach włoskich w ogóle, a o rzymskim uniwersytecie w szczególności. I znowu nie słyszałem żadnych skarg. Wręcz przeciwnie — na pytanie, czy rugi antyfaszystowskie w dużym stopniu zdekompletowały zespoły wykładowców, usłyszałem odpowiedź:

— Prawie wcale. Faszystów na katedrach uniwersyteckich była ilość minimalna. My, profesorowie, z reguły nie zajmowaliśmy się polityką faszystowską.

Narzekania zaś, zresztą bardzo oględne, usłyszałem dopiero przy końcu naszej rozmowy. Zamykały one się w jednym twierdzeniu:

— Nie mamy co jeść, nie mamy w co się ubrać, nie mamy pieniędzy na najniezbędniejsze wydatki.

Ten temat już znałem. Słyszałem o nim niejednokrotnie. Widziałem tyle razy jego ilustrację na ulicach miast i miasteczek włoskich. Mówiąc brutalnie i cynicznie — temat ten już mnie nie interesował.

Inne rozmowy, które miałem z innymi Włochami posiadały dokładnie ten sam charakter. Dużo narzekania, jakże zresztą słusznego i uzasadnionego — na nędzę,

na potworne warunki bytu, nieraz nawet na — dosłownie — głód i... całkowity brak wylewności we wszystkich pozostałych sprawach.

Wszedłem któregoś dnia do zatłoczonej kawiarni w Rzymie i z braku miejsca usiadłem przy stoliku, zajętym już przez dwóch włoskich oficerów. Obaj byli bardzo ugrzeczni. Pierwsi zaczęli rozmowę od komplementów pod adresem wojska polskiego, które imponuje im nie tylko swoją postawą bojową i swoimi zwycięstwami.

— Nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy — zwierzał się jeden z nich — aby jakikolwiek oficer polski, a miałem okazję stykania się z wieloma Polakami, był w stosunku do mnie, oficera włoskiego, nieuprzejmy. Byli oni zawsze ujmująco mili.

— Czy pragnie pan przez to powiedzieć, że oficerowie innych narodowości nie byli zawsze tak poprawni wobec oficerów włoskich? — zapytałem podchwytliwie.

— Och, skądże — obaj zaprzeczyli bardzo żywo — nikomu nic nie mamy do zarzucenia.

— Nawet Niemcom? — uśmiechnąłem się.

— O, to jest zupełnie inna sprawa.

Zachmurzyli się obaj i szybko zaczęli mówić o tym, co grają w operze i teatrach.

Rozmowy z „szarym człowiekiem“ też nie dają żadnych rezultatów. „Szary człowiek“ z entuzjazmem mówi, że chciałby dostać papierosów, mydła, kawy czy herbaty. Jeśli jest przewodnikiem, portierem hotelowym lub dorożkarzem będzie żarliwie zachwalał piękno Włoch, jako kraju i piękno Włoszek, jako rzadkich okazów kobiecej urody. Przeważnie nawet proponuje swe pośrednictwo w poznaniu najcudowniejszej signioriny, której adres jedynie on posiada.

— A co pan myśli o Mussolinim? — przerwałem kiedyś jednemu z takich piewców piękna długi wywód o niesłychanych zaletach pewnej brunetki, którą miała być rzekomo (czy może naprawdę) jego kuzynką.

Włoch skrzywił się tak straszliwie, jak skrzywić się tylko może każdy uczciwy znawca alkoholu po wypiciu kieliszka włoskiego koniaku.

— Mussoliniego już nie ma — odrzekł chytrze — a jeśli nie ma, to po cóż mamy o nim mówić?

Jedynie fryzjer na Corso Umberto, który z racji swego zawodu jest zawsze bardziej, powiedzmy, niedyskretny, niż setki innych ludzi, zwierzył mi się:

— To był wielki człowiek ten Mussolini, szkoda tylko, że tę wojnę rozpoczął. Przez ten błąd przekreślił swoje zasługi — dodał na wszelki wypadek.

Zniecierpliwiony tą ciągłą i powszechną powściągliwością, postarałem się wreszcie o rozmowę z aktywnym politykiem włoskim słusznie rozumując, że tego rodzaju człowiekowi trudno będzie odpowiadać: *Ce n'est pas une chose qui m'intéresse*.

Polityk przybył chętnie na grunt neutralny, cieszył się ładną pogodą, zachwycił się kuchnią naszego wspólnego gospodarza i bardzo żywo interesował się, jak są zaopatrzone sklepy w Wielkiej Brytanii. Kiedy jednak skręciłem na tematy bardziej włoskie, niż sklepy brytyjskie, bardziej szczegółowe, niż pogoda i mniej miłe, niż obiad, który właśnie kończyliśmy — polityk zadumał się głęboko.

— Ha, widzi pan, to jest tak — mówił ostrożnie odmierzając słowa — u nas wszystko jest nieustabilizowane. Jedni chcą, na przykład, tego, a inni chcą znowu czego innego. Czasami ich programy można pogodzić, kiedyindziej nie da się tego zrobić za żadną cenę. Wszyscy nie lubimy faszyzmu i nie pozwolimy na jego po-

wrót. Kraj jest zniszczony, więc trzeba go odbudować. Poza tym ciężko jest z zaopatrzeniem. Trudno o tak podstawową rzecz, jak chleb, mięso...

— Papierosy — podsunąłem usłudźnie.

— Właśnie — zapalił się polityk, zapalając mojego papierosa — więc, pan rozumie...

Tak, zrozumiałem. Źródeł i dróg obecnej polityki, obecnych nastrojów, zwątpień, wiary i projektów na przyszłość włoskiego społeczeństwa nie szukałem już więcej w rozmowach z Włochami. A raczej — szukałem ich nie tylko w rozmowach z Włochami.



Front włoski: W klasztorze na Monte Cassino.



Front włoski: Wjazd do Ancony.



Front włoski: Pościg oddziałów polskich za Niemcami po naprędcie przerzuconym moście na rzece Idice.



Front włoski: Za kwadrans patrol wyruszy...



Front włoski: Obraz z kampanii zimowej.



Front włoski: W kuchni polowej.

RUSZAMY ZA RZEKĘ SENIO

Front włoski, kwiecień 1945.

Wozy musimy zostawić za ostatnim zakrętem i resztę drogi na punkt obserwacyjny, jakieś sto pięćdziesiąt do dwustu metrów, odbywamy piechotą. Dzień jest — jak zwykle słoneczne dnie włoskie — gorący. Dochodzi południe, słońce świeci prawie prostopadle, a obfity, gęsty pył ostatniego odcinka drogi osiada grubą warstwą na butach, mundurach i twarzach. Kolumna idących jest niewielka, lecz wznieca swymi krokami wcale potężne tumany pyłu. Trzeba więc rozdzielić się, aby nie zwracać uwagi niemieckich obserwatorów artyleryjskich. Pierwszy pójdzie gen. Anders z dowódcą odcinka, później adiutanci, potem reszta. I trzeba się schylić, przechodząc przez grzbiec, aby nie irytować nieprzyjaciela.

— W tym jasnym powietrzu obserwatorzy widzą wszystko — mówi niski, krępy podpułkownik — poza tym, jak panowie sami zauważyli, teren jest przeraźliwie płaski i nie trudno jest obserwować taką górę, jak nasza.

Powietrze istotnie jest bardzo jasne i panuje w nim wielka, bezbrzeżna nieomal cisza. Nic nie zapowiada nie tylko ofensywy, która za parę kwadransów tu się

rozpocznie, ale nawet nic nie przypomina wojny. Przed nami rozciąga się duża, tylko horyzontem ograniczona płaszczyzna. Nie widać na niej żadnego ruchu, nie słychać żadnych odgłosów. Drogi, wpadające z zakrętu w zakręt i ze skrzyżowania w skrzyżowanie są całkowicie opustoszałe. Bez trudu można ulec złudzeniu, że na te ciemne, prawie czarne i opustoszałe pola, pola nieorane i nieobsiane, zejdą za chwilę gromady pracowitych a spokojnych oraczy, aby wreszcie przynieść pokój, chleb i przyszłość temu krajowi. Że z domów, nieregularnie rozrzuconych odezwie się odgłos normalnego życia.

Gdy jednak przykładam lornetkę do oczu, wiem na pewno, że nikt z tych domów nie wyjdzie. Domy są tylko dekoracją dla dalekiego oka, nieuzbrojonego w szkło powiększające. Pozostały z nich jedynie fasady, ściany bez dachów, okien i drzwi. Pola zorały pociski artyleryjskie, przeryły miny i rowy i schrony. Wszystko stanowi wielką „ziemię niczyją“ z czasów zimowego zastoju na włoskim froncie.

Ale teraz zbliża się koniec. Jeszcze godzina, jeszcze kilka, najwyżej kilkanaście godzin i wojna stąd się oddali. Pójdzie naprzód. Na północ. Może za tydzień przyjdą tu właściciele, spokojni i lękliwi chłopcy włoscy, aby wreszcie na miejscu zniszczenia i walk odbudować wszystko, co było przedtem.

W okopie na punkcie obserwacyjnym jest spokój pełny napięcia. Generał Anders studiuje przedpole, a potem słucha obszernego meldunku dowódcy odcinka. Minuty i kwadranse wloką się tak, jakby nigdy nie miały się skończyć. Nogi cierpną w wilgotnej ziemi, podniecone zaś oczekiwanie dusi i dręczy. A jeśli coś zawiedzie? A jeśli coś się nie uda?

— Wszystko jest absolutnie pewne — odpowiada na

niewypowiedziane pytanie generał Szyszko-Bohusz, dowódca Drugiego Korpusu. — Cała operacja została przestudiowana od początku do końca.

— Nie tylko przestudiowana — dorzuca dowódca... Brygady — mieliśmy przecież i próby natarcia w takim samym jak ten terenie, nawet niedaleko stąd.

Były więc próby... Zapewne była także i próba generalna, podczas której odbywało się wszystko tak, jak na prawdziwym przedstawieniu. Teraz nadchodzi godzina premiery. Nawet wszystko dokoła trochę przypomina teatr: wychylamy się przez przedpiersie okopu, jak przez parapet łoży. Gdzieś w dole jest ogromnych wymiarów scena, na której za chwilę rozpocznie się akt pierwszy naszego widowiska. Widowisko zaś nosi tytuł: „Ostatnia bitwa we Włoszech“.

O drugiej godzinie gdzieś z dala zaczynają warczeć samoloty. Równocześnie na przedpolu, tam gdzie kończy się linia naszych oddziałów, wytryskują ku górze białe, czarne, żółte i czerwone dymy. Granica i znak ostrzegawczy dla samolotów, aby nie pomyliły się, aby nie bombardowały własnych oddziałów.

— Pomyłki chyba są wykluczone — mówi jeden z oficerów — tyle przecież jest znaków rozpoznawczych. I dymy i linia rzeki, płachty i specjalne wskaźniki rysowane na ziemi.

Warkot samolotów staje się coraz bliższy. Wreszcie widzimy pierwszy klucz. Niebo nad nim jest jasnoniebieskie, przezroczyste. Samoloty wyglądają jak srebrne strzałki, przesuwające się na mapie morza, czy też kosmosu. Powietrze przestaje być ciche. Rozdzwania się jęklwym stękanem motorów. Rozśpiewuje się przeciągłymi gwizdami, które idą ku nam z przedpoła. Dymy przed nami układają się, ustawiają w dość regular-

ną i wysoką, różnobarwną ścianę. Powoli, bardzo powoli pomniejsza się horyzont przed oczami. Kurczy się obszar widzenia przed ścianą, która ma wszystkie chyba barwy tęczy, a przy tym chwieje się jak kurtyna, ruszana podmuchem przeciągów, czy też niewprawną ręką teatralnego praktykanta. Raz ma kolor tylko żółty, potem znów mieni się gamą wszystkich kolorów, potem staje się czerwona i czarna i znowu żółta i znowu różnobarwna.

A samoloty lecą naprzód. Szerokim półkolem okrążają „ziemię niczyją“, aby wydłużyć się nad nią linią skośną a cienką i znowu skrócić i jeszcze raz się wydłużyć. Tak jak litera „S“. Teraz już czoło litery jest dokładnie nad liniami niemieckimi. Samoloty są wyżej, niż zasłona dymów. Zasłona zakryła nam ziemię, ale pozostawiła smoloty. Widzimy więc wyraźnie, jak spod pierwszego klucza leci snop drobnych, srebrnych błysków.

— Te bomby wyglądają, jak srebrne isierki — wypowiedział ktoś zupełnie niewojсковą uwagę.

„Isierki“ robią swoje, bo oto do odgłosów motorów dochodzi huk wybuchów. Ponad kurtynę dymów ochronnych wybucha inna, jednolicie czarna, coraz wyższa i wyższa. Łuny różowych w świetle dnia pożarów kładą się na horyzoncie i z każdą chwilą zwiększają swój złowrogi zasięg. Kurtyny zresztą, dymy i łuny roztapiają się i rozplývają w poczerńiałym zgnął powietrzu. Nie mija kwadrans, a trudno nam jest już odróżnić gdzie są nasze znaki ochronne, a gdzie znowu eksplozje na nieprzyjacielskim terenie. Nie widać dwóch wyniosłych, samotnych drzew, od których mierzyło się „na dwa palce“ w lewo, lub w prawo. Nie widać domów, ani wsi, ani w ogóle niczego.

Właściwie nie ma już na co patrzeć. Ogromna litera

„S“ przesuwają się z nużącą jednostajnością po niebie. Horyzont czernieje coraz bardziej.

*

*

Jest dokładnie pół do szóstej, gdy skręcam łązikiem z podnóża góry i wyrwam gładkim, pustym szlakiem ku oddziałom piechoty na ich stanowiska. Samoloty przestały latać, zaczyna natomiast grać artyleria. Stopniowo. Bateriami. Zaledwie jednak dojeżdżamy do głównej drogi, artyleria wali całą siłą swych dział. W nielicznych domach lecą resztki szyb. Z drzew opadają jak grad szczątki gałęzi. Droga pod kołami łązika zdaje się wzdymać i opadać, podskakiwać i wić się w zwojach i skurczach. Nieustanny, przeciągły huk wdziera się do uszu i powoduje ból głowy.

— No, teraz to ich chyba wykończą do reszty — wykrzykuję w kierunku kierowcy optymistyczne przewidywanie.

On jednak potrząsa z powątpiewaniem głową.

— Pod Cassinem walili mocniej i dłużej — odwrzaszkuje — a dranie nie chcieli ustąpić.

— Ale nie było samolotów w tej ilości co teraz — myślę sobie — 1250 bombowców. Same „Nadfortece“ i „Liberatory“. 611 myśliwców, 2374 ton bomb. A poza tym teren...

Mrucząc słowo „teren“ przypuszczam w tej chwili, że ten nizinny, płaski teren jest dużo wygodniejszy, niż upiorne zbocza Monte Cassino. Lecz nie wiem jeszcze w tych pierwszych godzinach ofensywy, że już wkrótce jednogłośnie będziemy klęli dolinę lombardzką, po której tyleśmy sobie obiecywali. Nie wiem, że już jutro ktoś mi powie: — „Znacznie lepiej było nacierać pod górę. Niech diabli wezmą tę cholerną płaszczyznę“.

Przy drogach rozsiadły się baterie. Mijamy je jedną za drugą, od artylerii najcięższej do lekkiej. Mimowoli zbieram się w sobie i staram się zmniejszyć do mikroskopijnych wymiarów, nieomal skurczyć na dnie łoża, huk bowiem zdaje się roznosić wszystko.

Drogą nie jadą żadne, poza naszym, wozy. Natomiast przesuwają się chyłkiem gromadki cywilów. Wolą na wszelki wypadek iść do tyłu, jak najdalej do tyłu, w głębokim przekonaniu, że tam dopiero będzie bezpiecznie. Jeden z nich rozpaczliwymi znakami zatrzymuje nasz łożik. Chce się dowiedzieć, „czy zaczęła się wojna“?

— Wręcz przeciwnie — odpowiadam — wojna teraz się kończy.

A czy oni mają uciekać? Czy zostać? Czy Niemcy tu nie wrócą?

— Prędeż mi na dłoni winnica wyrośnie — zaklina się zitalizowanym polskim przysłowiem kierowca — jeżeli tutaj przyjdzie choć jeden szwab. Przegonimy ich daleko, daleko.

— Daleko? — zastanawia się włoski chłop. — Jak daleko, czy może aż do... Bolonii? Koło Bolonii mam rodzinę...

* *

Pułkownik Bronisław Chr. nie zmienił się nic od prastarych czasów szkockich. Tak samo ma niedbale nasuniętą furazerkę (nie берет!) i tak samo jest optymistą. O natarciu swojej Brygady mówi raczej lekko, a na pewno bez specjalnego przejęcia.

— No cóż, natarcie jak natarcie — stwierdza swym cichym, spokojnym głosem — przygotowane, zapięte na ostatni guzik, pójdzie, jak nóż w masło. Będziesz miał tutaj trochę ładnych widoków, bo to i krokodyle ruszą i inne cudenka... Jak na wojnie.

Nie mogę jednak w tej chwili dowiedzieć się dokładnie, co to są te „cudeńka“, gdyż wyłaniają się odrazu aż dwie rewelacyjne propozycje. Pierwsza jest od Jaksy, który szeptem, niejako na marginesie rozmowy z pułkownikiem, oznajmia, że ma manierkę pełną ognistego koniaku. Równocześnie jednak przychodzi sierżant szef z dowództwa Brygady i melduje pułkownikowi:

— Mamy już dwóch jeńców.

— Dwóch jeńców? — dziwi się pułkownik — przecież jeszcze nie rozpoczęliśmy akcji ?

— Tak, ale oni uciekli ze swoich bunkrów do nas. Są zszokowani bombardowaniem lotniczym i artylerią.

Koniak Jaksy schodzi na drugi plan. Idziemy do jeńców. Dwa młode, zupełnie nerwowo roztrzęsione szczeniaki, o twarzach ziemistych, brudnych, zapłakanych. Nie, nic nie wiedzą. Było wszystko dobrze, dopóki nie nadleciały samoloty. A potem świat zaczął się walić. Dym, kurz, piach wdzierały się kłębami przez otwory do bunkrów. Szwabki jeszcze teraz, gdy składają swoje zeznania, wypluwają ten kurz ze spękanych warg. Jeszcze teraz otrzepują mundury z pyłu, wyciągają grudy ziemi zza kołnierzy.

— A jak zaczęła strzelać artyleria — żali się jeden z nich — mieliśmy wszystkiego dosyć. Wołałem na kaprala: „Paul, Paul“, ale on nie odpowiadał. Chyba już nie żył. Więc wyskoczyłem z kolegą...

— A nie bałeś się wyskakiwać z bunkra na wierzch? — pyta dokładny i podejrzliwy sierżant szef.

— Wszystko mi jedno. Nie mogłem wytrzymać! Nie mogłeeeem! Wytrzymaaaać! — nieprzytomnie krzyczy Niemiec. Oczy jego stają się błędne. Drugi wybucha spazmatycznym łkaniem.

Pułkownik Chr. spogląda na zegarek. Jeszcze pięć minut!

Ostatnie pięć minut stanowi chyba maksimum tego, co może wydobyć ze swych dział nasza artyleria. Domek, w którego resztkach rozmawiamy z jeńcami, здаje się wsuwać w ziemię i zapadać się coraz głębiej. Drzewa drżą i przeginają się, jakby w czasie letniej, gwałtownej burzy. Nad szosą wzlatują i opadają małe obłoczki kurzu, chociaż nikt przecież w tej chwili nie jedzie po niej, ani nie idzie. Gwizd pocisków układa się w jednolity, niezmacony takt, mniej więcej jak takt kół szybko mknącego na szynach pociągu: raaaz, dwa, raaaz, dwa, raaaz, dwa. To „raaaz“ jest długie, przeciągłe i stanowi drogę, którą odbywa pocisk. „Dwa“ jest krótkie i mocne — uderzenie pocisku o cel. Wybuch! Jednostajność, niezmiennosc i potęga tego hałasu dają niemal wzrokowe wizje. Prawie że widzi się całą nawałę, jak przesuwają się nad głowami ruchomym, łukowatym sklepieniem.

Tak, wszystko jest przygotowane, wszystko „jest zapięte na ostatni guzik“. To prawda, wiemy o tym dobrze. A jednak w tych ostatnich trzech, dwóch, jednej minucie, atmosfera staje się uroczysta i naprężona. Patrzymy przed siebie, gdzie za drzewami i ogrodami jest rzeka Senio, na którą za moment wyjdzie natarcie. Powoli milknie artyleria. Na kierunku natarcia gaśnie słońce czerwonym blaskiem i tak samo czerwono zapalają się łuny. Jedna czerwień przychodzi po drugiej, jeden blask zastępuje inny. Ustępuje i gaśnie i znika blask boskiego słońca, zjawia się luna — dzieło ludzkich rąk.

— Przy świetle nasi łatwiej przejdą przez pola minowe — ktoś mówi.

Z nagle rozszczekują się Spandau'y. Nasze, polskie

natarcie poszło na niemieckie linie obronne. Jest dokładnie godzina siódma trzydzieści.

* *

Rzekę Senio natura umieściła w płytkim wąwozie, który podobał się rzece, lecz nie podobał się ludziom. Rzeka mogła sobie beztrząsco i bez trudu wychodzić z parowu w porach wiosennych powodzi, rozlewać się szeroko i przestrzennie po polach, winnicach i gajach. Wspomagana błotnistą wilgocią nigdy nie schnących bagnisk, potrafiła doskonale zatruć życie wielu pokoleń leniwych Włochów, zubożyć ich materialnie i ponuro usposobić. Aż wreszcie po iluś tam wiekach bierności znudziły się ludziom rzeczne fantazje. pogłębili parów, wznosząc po obu brzegach rzeki wysokie wały, gęsto, zwarcie ubitej ziemi. Przekopali sieć kanałów wielkich, mniejszych, całkiem niedużych, usiali bagnistą dolinę nużącą symetrią rowów, odprowadzających wodę i wilgoć. To stało się błogosławieństwem pracy i... przekleństwem naszego natarcia. Senio z malutkiej, niepoważnej przeszkody urosła do wymiarów linii obronnej. W wałach zaczerniły się prostokątne otwory bunkrów. Pomiedzy rowami i kanałami rozsiadły się pola minowe.

Zmierzch jest już zupełny, gdy powoli, z lekka kołysząc się i hałaśliwie chrzęszcząc gąsienicami ruszają czołgi. Miękki, głęboko odcisnięty w ziemi ślad gąsienic jest chodnikiem dla pieszych. Niech nikt przypadkiem, nie odważy się zejść z tego chodnika, niech nikt, broń Boże, nie popuści wodzów pieszej fantazji. Tam, gdzie idą czołgi jest teren bezpieczny, rozminowany, krok w lewo lub w prawo, czy nawet pół kroku, może się skończyć tragicznie.

Działa czołgów wyręczają w tej chwili artylerię. Z bezpośredniej odległości grzmocą po wale, nie z góry, lecz od przodu. Walą w otwory bunkrów, chcą zgasić ogień *Spandau'ów*. Lecz *Spandau'y* nie mogą pogodzić się ze śmiercią. Odgryzają się gęstym, ponurym jazgotem, usiłując okrążyć swym ogniem czołgi i dosięgnąć, za wszelką cenę dosięgnąć piechotę. Niefortunne, bez szans przedsięwzięcie. W szarym, krzepnącym zmroku skulone postacie żołnierzy „Karpackiej“ są już coraz bliżej, nieuchronnie bliżej wału...

Ale oto czołgi muszą zatrzymać się, skończył się pas ziemi rozminowanej, trzeba wydłużyć drogę motorom. W sinej, prawie granatowej ciemności płaczą się przed czołgami ciemne sylewki. Co za gratka dla *Spandau'ów*! Rzną z niespełna dwustu metrów radośnie i prawie triumfująco. Trochę dalej, za ich plecami odzywają się sześciogębne *Nebelwerfery*. Na szczęście, niecelne. Pociski ich walą w pustą chwilowo przestrzeń, pomiędzy kompaniami, wyciągniętymi w natarciu, a dowóztwami batalionów i Brygady. Tyle tylko, że jeszcze jedna linia płomieni wyrasta, wątła, anemiczna, świecąca jak drogowskaz. Jakby przedsmak, jakby próbka natarcia. Z boku, z ukosa łupią S.P. Niemcy otrząsnęli się z przerażenia, wrócili znowu do formy.

Mija kwadrans za kwadrans, mija godzina jedna i druga.

Wszystko idzie zgodnie z planem — dźwięczny w słuchawce na punkcie dowodzenia Brygady meldunek majora W., dowódcy... batalionu. — Czas już na użycie „krokodyli“.

„Krokodyle“! Niewielkie czołgi z miotaczami płomieni wyłazą z ukrycia, zza linii krzaków i gajów i suną ostrym, zgrzytliwym marszem w kierunku wału. Wchodzą w luki pomiędzy kolumnę pancerną, w przejścia

drugiego rzutu, specjalnie dla nich rozminowane. Usuwają swym pojawieniem się, jakby zdecydowanym, władczym ruchem ręki piechotę i zaczynają pluć ogniem na linię wału.

Momentalnie robi się bardzo, a bardzo jasno. Czerwono. Ziemia bowiem, choć szara i trawa choć zielona i brązowe drzewka, wszystko to pali się ciemno-czerwonym, jaskrawym płomieniem. Ogień *Spandau'ów* milknie, zwinne, ruchliwe patrole saperskie są już na wale. Zakładają ładunki. Uciekają do tyłu. Ze środka wału tryskają jeden za drugim wybuchy. Obsuwa się ku dołowi i rozsypuje się na proch robota wielu pracowitych pokoleń. Wał pęka dużymi, długimi szczelinami.

— Czwarta kompania już jest na wale — brzmi znowu meldunek w Brygadzie. — Likwidujemy resztki niemieckiego oporu.

Jest dokładnie północ, gdy pierwszy czołg ustawia się na wschodnim wale i zaczyna przejeżdżać się po wale zachodnim. W godzinę potem bataliony trzymają już mocno całą linię wału wschodniego. Zaczyna się uporczywa, nużąca strzelanina z obu wałów — z naszego na niemiecki, z niemieckiego na nasz.

Na świetle jest kolorowo i strasznie. Seledynowy parasol reflektorów, krzyżujących się u góry, przecinają gęsto różowe punkty pocisków artylerii przeciwlotniczej. „Pelotka“ wytycza drogę naszej artylerii najcięższej, która znów odezwała się i wali na dalekie tyły niemieckie. Tu i ówdzie na poszczególnych odcinkach rzeki lecą błyskawicznym pędem długie, czerwone romby, rozsypując się półkolistą linią płomieni. To znowu „krokodyle“ kruszą opór niemiecki. Jest godzina druga i trzecia i trzecia trzydzieści...

Sąsiednia brygada wchodzi na wał zachodni jednym ze

swych batalionów. To nic, że zastępca dowódcy batalionu jest ranny w obie nogi. To nieważne, że nie wszyscy dochodzą. Dowódca pierwszego plutonu, ppor. Franciszek S., który lewą rękę stracił pod Monte Cassino, prawą rzuca celnie granat. Bucha do góry płomień i grzechoczą jedna po drugiej detonacje. Wał otwiera się w środku, pali się skrzyniami amunicji i ciałami obrońców.

Coraz więcej ścieżek i dróg prowadzi przez Senio. Na całej szerokości kompanie ruszają do natarcia. Padają na wodę łódki i deski, kładki i faszyna. Już są przejścia przez rzekę wąską a głęboką. Obrońcy, którzy nie uciekli, albo nie zginęli — poddają się. W zimnym, granatowo-białym świetle poranka, na tle jasnej czerwieni dogasających pożarów, zaczynają bielić się płachty kapi-tulacji.

W dowództwie brygady, gdy wracam, zastaję ludzi o twarzach popielatych i zmiętych. Jaksza wyciąga wreszcie swój koniak i pijemy go pod wilgotnymi od rosy drzewami, drżąc z zimna, zmęczenia i wrażeń. Na tyłach sztabu, w opuszczonej izbie, która normalnie jest tutaj kasynem, płyną cicho i smętnie z radiowego aparatu sentymentalne, wiedeńskie walce.

— To gra Berlin. „Oni“ o tej porze mają najlepszą muzykę — wyjaśnia „pocztowy“ dowódca Brygady.

— Ciekaw jestem, jak długo jeszcze będą grali swoje melodie — zastanawia się Jaksza. — Dzisiaj jest dziesiąty kwiecień. Co będzie za miesiąc?

OD GAIANO DO BOLONII

Front włoski, kwiecień, 1945.

W dniu, w którym stało się rzeczą oczywistą, że idziemy na Bolonię, zacząłem starać się o miejsce w czołgu. Nie wyobrażałem sobie, aby szanujący się korespondent, dbający o pewną, powiedzmy, dekoracyjność swej pracy, mógł cokolwiek „zdobywać” inaczej, niż w czołgu. Kłopot był tylko z wyborem oddziału. Nie było bowiem rzeczą ani prostą, ani jasną, ani łatwą odgadnąć, który z pułków pancernych wejdzie pierwszy. Pancernych, bo nie wątpiliśmy, że gdy zamajaczą na horyzoncie domy i wieże Bolonii, pancerniacy nie wytrzymają nerwowo i pojadą naprzód, choćby tam nie wiem co. Na wszelki więc wypadek, zamówiłem sobie „łożę” w wieżycze w pułku ułanów „Karpackich” i u „Skorpionów” i w kilku oddziałach jeszcze.

Tymczasem jednak operacja zaczęła się ślimaczyć. Wbrew przewidywaniom opór niemiecki stał się histeryczny w swej zaciętości i zaciekłości.

— Dlaczego tak długo tkwiliście na swych stanowiskach? — pytamy któregoś dnia niemieckiego *feldfebla*, który z dwoma ludźmi i ze *Spandau*’em siedział w kolanie rzeki Sillario, trzymając pod ogniem jedną z naszych kompanii.

— Aby nikt nie mówił, że Niemcy poddają się bez walki — odparł ponuro barczysty drab i zuchwale spojrział nam w oczy.

Nad tąż samą rzeką i tego samego dnia zastaliśmy w jednym z bunkrów śpiącego niemieckiego oficera. Stracił batalion, nie widział sensu ani w odwrocie ani w walce, nie jadł od czterech dni. Postanowił czekać i poddać się.

Jakże w tych warunkach można było cokolwiek przewidywać? Obrona niemiecka zupełnie widocznie straciła cechy czegoś, co się planuje u góry, a wykonuje skrupulatnie na wszystkich dołach. Straciła wytyczne nie tylko operacyjne, ale i moralne. Nie wiedzieliśmy jak wygląda dusza niemieckiego żołnierza, który wycofywał się przed nami. Trudno było odgadnąć gdzie będzie granica jego oporu, w co zwątpił ostatecznie a w co jeszcze wierzył.

Bitwa więc szła, przeplatana gęsto niespodziankami. Gaiano, rzeka niewielka, na pozór słabo ufortyfikowana, stała się redutą niemieckiej obrony na przeciąg dwu dni i dwu nocy. Na próżno, zdawało się, szły bataliony do natarcia. Na próżno w ciężkim upale szarżowały czołgi: Niemcy nie chcieli puścić, nie chcieli wycofać się. Skuleni w małych, solidnie rozbudowanych bunkrach ciągle pluli ogniem *Spandau'ów*, łupili moździerzami, walili artylerią. Szczególnie ostro walczyli na prawym skrzydle, gdzie pozostała rzecz specjalnie w kampanii włoskiej rzadka i cenna: cały, nietknięty most.

— Nie mają, widocznie, cholery, amunicji — wyrażano u nas przypuszczenie.

— Lub założyli bomby czasowe — obawiano się.

— Albo może szykują jakiś wypad — gubiono się w domysłach.

Dopiero po całej dobie przygotowań oddziały nasze ruszyły do natarcia na rzekę Gaiano. Najostrzejsze walki, naturalnie, toczyły się o ten most. Pierwsze pode-

szły czołgi, nie przestając strzelać z działek. Dowódca jednego z plutonów stwierdza w pewnej chwili, że mu radio nie działa.

— Hallo, hallo — drze się w mikrofon, ale nic. Żadnego skutku.

— Psiakrew — klnie porucznik. — Nic nie wiem i nie mogę wydać żadnego rozkazu.

Co robić? Kilka pomysłów, szybka decyzja i oto po pustym, gładkim polu, gdzie ogień *Spandau'ów* hula i szaleje jak chce, biegnie skurczona, mała sylwetka. Nawet nie od krzaczka do krzaczka, według wymagań regulaminu, ani też od zasłony do zasłony. Po prostu, szybkim truchtem, aby tylko prędzej, aby jak najprędzej. I już dowódca plutonu siedzi na wierzchu, na wieżyczce innego czołgu, zupełnie odkryty, całkowicie osiągalny dla ognia nieprzyjaciela.

— Do środka, panie poruczniku, do środka — krzyczą z czołgu.

Ale porucznik wie, że w środku nie ma miejsca. Wejść do środka, to znaczy kazać komuś innemu wypakować się na zewnątrz, na ogień, na pociski. To znaczy, że ktoś inny zapłaci za jego bezpieczeństwo.

— Ładnym byłbym dowódcą — mruczy porucznik na samo przypuszczenie, że mógłbym wejść do wnętrza czołgu.

Siedzi więc dalej na wieżyczce ze słuchawkami i mikrofonem i prowadzi pluton coraz bliżej, bliżej ku rzece. Jakiś pocisk trafia porucznika w ramię. Odłamek wali w udo, ale łączność jest, ale pluton idzie naprzód.

Pod samym mostem inny pluton już, już dochodzi do rzeki, gdy nagle pierwszy czołg na przedpolu staje, zatrzymany ostrym wybuchem. Spod gąsienic wypływa dym, motor przestaje działać. Niemiecka mina! Ale już inne czołgi półkołem pakują się na przedmoście. Niem-

cy milkną. Przestają fatygować się *Spandau'y*. Zamykają rozszczekane gęby *Nebelwerfery*.

Nie jest to jeszcze milczenie kapitulacji, ale narazie zimny, przewidujący rachunek. „Teraz oni, a potem znowu my“ — myśli sobie nieprzyjaciel — „grunt to przeczekać. Gdy oni przestaną, my otworzymy ogień“. Zasadniczo rzecz biorąc, Niemcy mają rację. Ogień dział pancernych wprowadzie nadweręży bunkry, ale obrońców nie wykurzy. Obrońców może wykurzyć tylko piechota, lecz nie pójdzie ona pod swój własny ogień. Jednego tylko Niemcy nie spodziewają się: nieprzytomnego, wariackiego tempa natarcia.

Równocześnie prawie z pociskami czołgów spadają do bunkrów „Rysie“. Ułamek minuty, czy może minuta, lub najwyżej dwie przerwy w ogniu artylerii wystarczą piechocie, aby przebiec przez most i znaleźć się w bunkrach. „Rysie“ zastają szwabów w pozycjach zabawnych: szare mszyce w mundurach *Feldgrau* siedzą skulone z palcami na uszach, huk bowiem jest ogromny.

— Spadliście chyba wystrzeleni z waszych własnych dział — mamroczą Niemcy z przerażonym zdziwieniem.

Most jest nasz. W kilka kwadransów później Gaiano na całej długości też znajduje się w naszych rękach. Idziemy niewstrzymani do przodu.. Mijamy duży, niemiecki cmentarz. Chyba ma on, tak na pierwszy rzut oka licząc, ze trzysta mogił, a może i więcej. Mogiły są wyciągnięte, wyrównane, tak jak ci, którzy w nich leżą stawali wyciągnięci i wyrównani na przeglądach. Wszędzie ten sam, nużący jednostajny napis: „Za niemiecką ojczyznę i za „*Führera*“, na dużej zaś szerokiej bramie cmentarnej czerni się melancholijna apostrofa: „Spełniliśmy nasz obowiązek“.

— Szkoda tylko, że tak późno — mówi ktoś obok.

Dziwne są te nasze uczucia, uczucia żywych ludzi,

stojących obok śmierci, obok mogił, z których każda jest tragedią, dokoła których opłotło się niewątpliwie dużo bólu i cierpienia i łez. Nie czujemy najmniejszego współczucia. Nie czujemy jednak także radosnego podniecenia. Tylko jakby pretensje i żal. Żal do tych właśnie, którzy tu leżą, do milionów ich rodaków, do — krótko mówiąc — wszystkich Niemców, gdziekolwiek by w tej chwili byli. Pretensje, żal i oburzenie za to, że zamordowali w nas właśnie współczucie. Że, przeciwnie, kazali nam zabijać i wzdychać z westchnieniem ulgi, przy każdym takim, jak ten cmentarzu:

— O tylu a tylu bandytów mniej na świecie. O tyle a tyle energii niszczycielskiej pomniejszyła się ślepa nienawiść niemiecka...

Z domu naprzeciw cmentarza dokładnie naprzeciw cmentarza położonego, wybiega ku nam, nieprzytomnie podniecony włoski *contadino*. Jego radość ma w sobie cechy szału. Przekracza wszystko, co dotychczas widzieliśmy. Nie rozumiemy wprawdzie słów, które wykrzykuje bełkotliwie i gardłowo, lecz uśmiechamy się wyrozumiale i z pobłażliwością. Oczywiście, jako *liberatori* spodziewamy się entuzjazmu i on nas nie dziwi. Ale oto zbliża się jakiś nasz kapral, znający język włoski i wyprowadza nas z błędu. Tłumaczy długą, a zawiłą mowę Włocha na lapidarny, żołnierski styl:

— Facetowi urodził się syn. Zaczął drzeć się, kiedy ostatni Niemcy przebiegali tą drogą. Facet chce, żeby syn miał polskie imię. Pyta się, jakie są polskie imiona...

Jedziemy dalej i dalej. Jedziemy za wojną, która przesuwana się naprzód, zostawiając za sobą przebrzmiałą śmierć cmentarzy i nowe, dopiero co zrodzone życie.

* *

— Następny silny opór niemiecki będzie na Idice — przewidujemy ogólnie, po przełamaniu stanowisk obronnych na Gaiano.

I słusznie, Idice bowiem jest dużą rzeką, największą ze wszystkich tych, które dotychczas sforsowaliśmy. Lećcąc „Kubusiem“ widzi się dokładnie szeroko rozlaną wodę, która potrafi być, gdy ludzie zechcą, przeszkodą solidną i długotrwałą. O parę kilometrów za rzeką jest nasz cel: Bolonia. A więc Idice będzie ostatnią przeszkodą. Znowu musimy przygotować się, walić lotnictwem, łupić artylerią, podciągnąć piechotę do natarcia i któregoś dnia ruszyć całą parą naprzód.

— Ale na to jeszcze jest czas — myślę sobie. — Zanim dojdzie do natarcia mam wspaniałą okazję, aby wyrwać z linii frontu do tyłu, wykąpać się i wypaść.

Na drogach jest kurz nie do przebycia. Po paru godzinach jazdy, każda twarz staje się zagadką trudną do rozwiązania. Grube warstwy kurzu zniekształcają rysy, zmieniają kolor włosów, ubarwiają khaki na białe, przemieniają przyzwoite, szanujące się wojsko na widmową, białoszarą armię duchów. Łaźnia, łaźnia polowa w dużym, nasiąkniętym parnym upałem namiocie, staje się szczytem marzeń i najdobitniejszym wyrazem luksusu. Dla tej łaźni więc męcę się przez nużące kwadransy na przejazdach, objazdach i postojach.

Długa, fantastycznie pokręcona droga numer 92, droga odfrontowa, została jak na złość dziś właśnie awansowana do całkowicie niezasłużonego zaszczytu — stała się drogą dwukierunkową. Od frontu i do frontu. Na straszliwych, wybitych przez czołgi koleinach, gdzie nieomal też same czołgi zmieściłyby się bez trudu z antenami radiowymi włącznie, co chwila powstają zatory, kraksy i katastrofy. Łazik skacze jak piłka na boisku. Włochy, raj turystów, zamieniają się w ogród

udręczeń. Nie tyle w ogród, ile raczej w winnicę udręczeń, bowiem droga numer 92 biegnie przeważnie prymitywnymi ścieżkami poprzez tutejsze winnice.

Dzień już wyraźnie ma się ku końcowi, gdy wjeżdżamy na długi wał, za rzeką Senio. Tabory już urwały się, zostały zdecydowanie i stanowczo wyminięte przez sprytnego kierowcę z Warszawy. Wszystko jest w tej chwili kolorowe, jak zwykle we Włoszech wieczorem, gdy żółci się i zczerwienie białe, upalne słońce, gdy opadnie męcząco szary, gęsty i nieprzezroczysty kurz, gdy pod wpływem nadchodzącego zachodu ożywają odcienie i barwi się horyzont. Kolory dokoła są dziwnie świeże. Las jest ciemno-zielony i przechodzi w coraz to jaśniejszą, prawie seledynową łąkę. Senio posiada kolor dokładnie ten sam, co niebo. Kolor ultramaryny. Trzeba być we Włoszech i trzeba bardzo często widzieć włoskie niebo, aby zrozumieć co to jest ultramaryna. Jednostajna, bez żadnych odcieni, zimna i niezmienna.

Przed nami rysują się pierwsze — a jak dla nas ostatnie — pasma Apenin. Są w tej chwili sino-szare i wydają się bardzo bliskie, chociaż w rzeczywistości dzieli je od nas spora ilość mil. W powietrzu jest bardzo spokojnie. Z tyłu, za nami — za nami w przestrzeni i w czasie — została głośna praca artylerii, samolotów, *Stenów* i *Schmeisserów*, *Brenów* i *Spandau'ów*. Za nami została wojna. Tu jest odpoczynek i cisza. Gdyby nie duży, rozwalony bombami na szczątki kościół, który mijamy, można by było zapomnieć o wojnie...

— A po jaką cholerę tu się zjawiłeś? — wita mnie wylewnie Andrzej S., gdy wysiadam przed namiotem kasynowym.

— Polenić się trochę — odpowiadam lekko.

— A kto będzie Bolonię zajmował? — dziwi się Andrzej. — Przed chwilą widziałem Bau'a, za nim prze-

mykał się Mossin. Gdzieś płacze się Racięski. Teraz ciebie diabli przynieśli. A tam wszystko maszeruje na Bolonię. Do luftu z takimi korespondentami...

Wiadomość wygląda sensacyjnie, ale i dość nieprawdopodobnie. Na wszelki jednak wypadek zacznym szukać dowódcy Korpusu.

— Tak, to prawda. Dałem rozkaz, aby nasze oddziały, oczywiście w pierwszym rzędzie grupa „Rud“ szły na Bolonię — mówi generał Szyszko-Bohusz. — Właściwa bitwa o Bolonię rozegrana została nad Sillario, a przede wszystkim nad Gaiano. Nieprzyjaciela wykończyliśmy na przedpolu. Nie oczekuję większego oporu nad Idice.

Wybiegam z tą rewelacją i natykam się na Bau'a, Mossina i Racięskiego. Mówię im szybko o co chodzi. Pakujemy się w łazik i jedziemy do frontu. Myślę o zmiennych sytuacjach i o tym, że rzeczywistość wygląda zawsze inaczej, niż marzenia i plany. Miałem triumfalnie wjeżdżać na czołgu do Bolonii, groźnie chrzęszcząc gąsienicami, a teraz, całkiem po reportersku, jadę do grupy „Rud“, która już spełniła najtrudniejszą część swego zadania i ma nie tyle zdobyć, ile raczej zająć Bolonię. Może nawet — po prostu — wejść do miasta.

* *

Grupa „Rud“ nie zajęła jednak Bolonii podczas nocy. Znowu, wbrew przewidywaniom wykwitł nad Idice, a bardzo szybko wycofał się na jej drugi brzeg ośrodek niemieckiego oporu. Ośrodek był stosunkowo niewielki, lecz uparty. Fanatyczne szczeniaki, spadochroniarze, *hitlerjugendy* i *esesy*, siedziały w dołkach i zabudowaniach, usiłując bezskutecznie udawać wielką obronę. Sprawa była w gruncie rzeczy łatwa i generał R., dowódca grupy, mógłby, gdyby chciał mieć efektowny su-

kces — bardzo szybko przepędzić Niemców. Sukces jednak nie podlegał i tak żadnej wątpliwości, a o efekty nie dbamy już od dawna. Chodzi o faktyczne zwycięstwo. I o ludzi. Aby nie ginęli dla dekoracji i anemicznego poklasku obcych w ostatnich dniach i tak już arcykosztownej dla nas wojny.

Szło więc nasze natarcie trochę wolniej, może nawet krok za krokiem nie mniej jednak nieustępliwie i miazdząco. Przed godziną szóstą, jedna z kompanii pod dowództwem kapitana N. i z udziałem kapelana ks. G. wkroczyła do miasta. Gdzieś przed nimi, samotnie denerwował się *Spandau*.

— Ale tak strzelał, że czuło się, iż ucieka — opowiadał później ksiądz G. — Ulice były puste i kilka razy natrafiliśmy na skrzynki z amunicją, karabiny i pistolety. Pierwszy, większy ogień spotkał nas z koszar milicji faszystowskiej. A potem znowu był spokój.

Dalej zaś, pomimo wczesnej pory, oczekiwał na rynku podesta miasta i kilkunastu co najważniejszych dygnitarzy.

— Witam was i dziękuję za wyzwolenie — powiedział krótko. — Rządy niemieckich spadochroniarzy w Bolonii były naprawdę okropne.

Gdy podesta zaczął wyliczać niemieckie grabieże, kradzieże, rabunki i zgwałcenia — z balkonu ratusza spłynęła biało-czerwona polska flaga.

* *

Wracam z prawego skrzydła, gdzie lwowska Brygada likwidowała resztki ubezpieczeń niemieckiego odwrotu i wjeżdżam do Bolonii. Miasto kipi entuzjazmem, jak duży kocioł gotującej się wody. Tłum nie woła, nie krzyczy, lecz wyje. Jezdnię zawałają masy ludzi, o twarzach spoconych, zgrzanych, czerwonych z radości i ze ścisku.

Kobiety wszelkich odmian i wszelkich epok zajmują się pracowicie wykładaniem naszego wozu kwiatami. Po paru minutach, każdy z nas wygląda jak ukwiecony Bacchus, tyle tylko, że nie mamy butelek w rękę.

Na którymś z przymusowych postojów, otoczeni przez tłum, staramy się czymś zrewanżować się za kwiaty. Wyciągamy papierosy. Lecz tłum odtrąca nasze ręce. Na nas i na kwiaty lecą ich biedne, nędzne papierosy. Oni teraz chcą nas obdarowywać! Dwóch miłych, starszych panów, szarpiąc nas i rozdzierając z pasją łącie włoską, zaprasza na wino. Otyły, łysawy brunet, pakuje mi na kolana kilkuletniego syna, namawia go, aby objął za szyję „liberatora“. Jestem nieco zażenowany i obawiam się, że muszę okazać jakoś swoje wzruszenie.

— Jak ci na imię, drogie dziecko? — chrypię, potykając się o nieznane włoskie słowa.

— Adolfo, Adolfo! — woła ojciec.

Tłum ryczy z uciechy, Adolfo zaś wypiera się żarliwie swej młodej przeszłości.

— *Perduto fascisto. Perduto Tedeschi.* Śmierć Hitlerowi. Zabić najeźdźców — szczebiocze radośnie i bez trosko.

W lukę, która nagle zrobiła się przed nami, wbiega czterech groźnie wyglądających młodzieńców, z rewolwerami w rękach. Wskakują na maskę łazika i wymachując przed naszymi nosami rękami uzbrojonymi w rewolwery, drą się:

— *Liberatori! Auguri!*

— Powiedz im pan — mówię do kierowcy — aby schowali rewolwery. Do Niemców już strzelać nie zdążą, a nam mogą jeszcze wyrzucić krzywdę. Nie lubię uzbrojonych cywilów.

Miasto jest już naprawdę zajęte, bo zjawili się włoscy partyzanci. Strzelają teraz do góry na znak triumfu,

wzniecając niesamowity popłoch wśród wron i kawek, krążących gęsto nad domami. Następna ulica jest bez kwiatów, natomiast liczniejsze jeszcze, niż przed tym kobiety żądają czegokolwiek na pamiątkę. Rozdajemy więc hojnie nasze kwiaty, co spotyka się u obdarowanych z wyraźną i widoczną wdzięcznością. Sądzą zapewne, że specjalnie dla nich wyładowaliśmy nasz wóz kwiatami.

Trzy miłe panienki pakuja się nam do wozu. Za następnym zakrętem wchodzi jeszcze jakaś blondynka. Matki zachęczone przykładem Adolfo, ugniatającego mi wytrwale kolana, podrzucają nam swoje pociechy i w ogóle robi się straszny ścisk, nie tylko nazewnątrz, ale i we wnętrzu łazika. Fotografowie rozmaitych szarż i narodowości kręcą całe kilometry taśmy. Panienki na widok obiektywów obcałowują nas gwałtownie. Wreszcie łazik nie wytrzymuje naporu tego entuzjazmu: z głośnym sykiem siada jedna opona, po niej druga. W dalszej drodze siadają trzy następne, z zapasową włącznie.

— *How are you* — woła Michael Reynolds, korespondent wojenny B.B.C., który właśnie obok nagrywa transmisję z wejścia do Bolonii. Nie wie zresztą jeszcze wtedy, że doskonałej i autentycznej jego audycji z Polakami, Amerykanami, Anglikami i Włochami nie puści mu londyńska dyrekcja na mikrofon. „Za dużo o Polakach“ — pomyślał w Londynie.

Korzystam z okazji i mówię na płytę dla Polskiego Radia:

„Jesteśmy na rynku w Bolonii. O godzinie szóstej oddziały polskie wkroczyły do miasta. O ósmej weszli Amerykanie z Piątej Armii. W tej chwili w mieście są oddziały polskie, amerykańskie, brytyjskie i partyzanci włoscy. Z ratusza zwisają nasze flagi. Entuzjazm ludności jest olbrzymi...”

STUTTGART, MONACHIUM, MURNAU

Paryż, maj, 1945.

Nie, nie ma nic szczególnego w tym wlocie na ziemię niemiecką. Z tej wysokości i w tych warunkach granica francusko-niemiecka, granica powalonej, zdanej na łaskę i niełaskę *unconditional surrender* Rzeszy wygląda, jak linia, przeprowadzona jedynie na mapie, linia teorii, a nie rzeczywistości. Bo — w gruncie rzeczy — nie widać nic oryginalnego w pierwszych kilometrach i dziesiątkach kilometrów niemieckiego terytorium. Ziemia układa się w równą, symetryczną szachownicę pól ornych, pastwisk i łąk; niebieszczeje wąskimi strugami dopływów Renu; marszczy się leciutko wypukłościami; im bardziej na południe — zieleni się długimi, ostrymi językami lasów. W powietrzu jest dużo słońca, w samolocie — upał.

W słońcu na zewnątrz i w upale na wewnątrz niebieskość rzek, zieleń lasów i różnobarwność ziemi wyglądają sielankowo, marzycielsko i sennie. To nie jest ziemia, która w przeszłości była jedną wielką jaskinią morderców i złoczyńców, a w przyszłości stać się ma najdotkliwszym, jaki znają dzieje, czyścem i miejscem pokuty. Domy miasteczek i wsi dymią niefrasośliwie, pra-

wie wesoło kominami, na łąkach włączą się stada bydła, tu i ówdzie krają rolę traktory.

Może tylko ruch na szosach jest trochę niezwykły, wielokierunkowy, nieregularny i podniecony. Może tylko trochę za dużo jest okrągłych, jasnych plam na drogach, plam pozostałych na widoczną i długą pamiątkę po lotniczych bombach. Lecimy szlakiem wypraw bombowych, które przez setki nocy wojennych wyrąbywały tutaj drogę zwycięstwu. Ale ślady na szosach są całkiem świeże: z ostatniej fazy kampanii inwazyjnej, z kruszenia i niszczenia niemieckiego odwrotu, niemieckiej desperackiej obrony.

Na robotę samotnych, przedinwazyjnych bombardowców natykamy się dopiero koło Stuttgartu: wyciągnięty, długi kompleks fabryk sterczy żelaznymi szkieletami po spalonych budowlach; domy w dużym, parokilometrowym chyba promieniu, nie mają ani dachu, ani — często — połowy swych ścian, ani — czasami — niczego w ogóle poza czerniejącym kominem i białą, jak sterta kości, kupą gruzów. A dalej idzie sam Stuttgart i Ulm i Augsburg.

Zaczynają się te Niemcy, na które czekamy.

Nad Dachau samolot zniża się. Równe rzędy baraków, dziś już nie kryją żadnych tajemnic. Wysokie strażnicze wieże nie strzegą okrutnie i czujnie ponurych zagadek hitlerowskiego reżimu. Dachau przestało być słowem, na którego dźwięk ludzie uśmiechali się z niedowierzaniem, albo też opowiadali z wypiekami podniecenia na twarzy groźne i straszliwe historie, nie do wiary dla słuchaczy i dla... opowiadających. Prawda przewyższyła wszelkie fantazje i wyobrażenia. Cóż bowiem znaczą fantazje, lub wyobrażenia normalnych, zdrowych ludzi wobec makabrycznej pomysłowości niemieckich zbrońców?

— Podobno — mówiono nam w Paryżu — pierwszą reakcją amerykańskich żołnierzy po zobaczeniu wnętrza obozu z Dachau było rozstrzelanie wszystkich dozorców obozowych. Naturalnie, tych dozorców, którzy nie zdążyli uciec.

Nie wiemy, czy tak było istotnie. Jedno jest tylko jasne: nad częścią obozu powiewa w tej chwili duża, prawie ogromna, biało-czerwona flaga polska. Trochę dalej łopoczą flagi francuska i sowiecka. Byli więźniowie organizują swe nowe życie — polska część Dachau nazywa się: „obozem wojska polskiego“. Taki tytuł przyjęła już w pierwszym dniu po wyzwoleniu!

Samolot siada pod niedalekim od Dachau Monachium i dalszą drogę trzeba odbyć w łązikach. Stolica brunatnego totalizmu jest żałosnym symbolem tego, co pozostało z piekielnie ambitnych „tysiącletnich“ planów Trzeciej Rzeszy. „Brunatny dom“, osławiona piwiarnia partii hitlerowskiej, ratusz, Stare Miasto stanowią teraz bezładne rumowisko. Ruiny pozostały z muzeów, pamiątek, zabytków architektury. Przed sklepami z żywnością tłoczą się długie ogonki wypasionych Szwabów. Skrupulatni Niemcy stoją też tłumnie przed dużymi płachtami obwieszceń wojskowych władz alianckich i notują dokładnie co im wolno, a czego znowu zabrania się surowo. Wrodzona umiejętność posłuchu i długa tresura hitlerowska występują oto tutaj w najbardziej paradoksalnej, idealnie odwróconej i poniżającej formie bezwzględного poszanowania każdego rozkazu, ktokolwiek by go wydał i w jakichkolwiek okolicznościach.

Za Monachium łąziki skręcają w drogę szeroką i prostą i jadą w kierunku na Insbruck, na południe. Ziemia marszczy się coraz bardziej, faluje i podnosi. Błękitny horyzont bieleje u swej podstawy najpierw cienką,

równą linią, aby już wkrótce rozszerzyć się i postrzepić nieregularnymi, śnieżnymi wierzchołkami Alp. Jest ciepło, jest prawie gorąco i jest nad podziw pięknie. Ziemia niemiecka jawi się nam całym swym urokiem, groźną pięknnością gór, melancholią pofałdowanej płaszczyny.

Tylko droga zaprzecza pięknu i każe zapomnieć o spokoju. Droga ogląda wędrowną nie tyle może ludów, ile narodowości, wędrowną ludzi, którzy teraz właśnie poczuliby wolność i chcą z wolnością tą postępować bez skrepowania i bez ograniczeń. Miliony niewolników z całej Europy, których spędzono siłą na tę ziemię, aby pracowali na byt narodu niemieckiego, przesuwały się wszystkimi sposobami lokomocji, gdzie ich — dosłownie — oczy poniosą. Są naturalnie i na trasie naszej podróży.

Na skrętach, skrzyżowaniach i rozstajach, gdy łąziki zwalniają tempo jazdy, wpada do uszu dźwięk mowy, okrzyki i nawoływania tłumu. Nie ma w tym rozgwarze ani słowa, ani jednego słowa po niemiecku.

— Idę w kierunku na Brenner — mówi wysoki blondyn, Włoch — wywieźli mnie siłą, chcę wrócić do kraju. Dużo nas Włochów tu jest — zakreśla ręką krąg po tłumie — może nawet na tej drodze najwięcej.

Trochę dalej przysadzista, młoda kobieta klunie drogę i upał i Niemcy w barwnym, obrazowym, soczystym języku rosyjskim. („W żadnym języku proszę Wysokiej Procedury nie można tak człowiekowi nasobaczyć, jak w ruskim“ — pisał niezapomniany Wiech).

Pod Kochel most jest zerwany, a wielki objazd zakręca szerokim półkolem w lewo.

— Tak, te objazdy są istotnie bardzo męczące — współczuje nam w wytwornej francuszczyźnie młody człowiek w białym kitlu.

— Pan jest Francuzem?

— Nie, jestem Rumunem.

Wśród samochodów i ciężarówek, wśród nerwowego, nieporządnego marszu pieszych wjeżdża zza zakrętu spokojnie, w pewnym nawet sensie dostojnie polski wóz, ciągnięty przez niewielkiego konia, który z dala wygląda trochę jak nasz powieściowy i przysłowiowy chłopski mierzynek. Nad szyją konia półkolista obręcz — typowa polska „ducha“. Na wozie twarz tak bardzo polska, że gdziekolwiek by się znalazła, nie mogła by budzić żadnej wątpliwości co do swego pochodzenia. Za chłopem siedzi baba i rozwalają bety i kolebią się jakieś rzeczy i w ogóle cały dobytek...

Wreszcie łąziki zjeżdżają w dolinę rzeki Izery. Kraj-obraz znów jest płaski, pełen łąk, poprzetykanych lasami. Domy i wsie układają się w obraz bardzo szczególny, z lekka dziwaczny. Jest w nich coś z poezji bawarskich legend i równocześnie włoski styl życia. Prawie włoskie, dalekie południe Europy, ale południe częściowe, niepełne, jakby granica czegoś, co się kończy i czegoś co się ma zacząć. I jak każda granica — pełna kompromisu, wzajemnych powiązań i mieszaniny.

— Jesteśmy na styku dwóch kultur: germańskiej i łacińskiej — snuje refleksje amb. Józef Lipski — przecież tą drogą przewalała się przez tyle stuleci kultura włoska w swej ekspansji na Niemcy. Proszę panów, co za dziwna ironia losu: ostatnimi przedstawicielami tych dwóch światów i dwóch kultur, którzy tu się spotkali byli Hitler i Mussolini. Dwóch kabotynów na tym szlaku, na takim właśnie szlaku...

Przyjazdu p.o. Naczelnego Wodza do Murnau nikt nie zapowiadał. Gdy więc w południowym gorącu idzie generał Anders z kilkoma wraz z nim przybyłymi oficerami przez obóz, nikt na nich nie zwraca uwagi. Uliczki pomiędzy barakami są niemal puste. Duży plac

obozowy zionie apatią i nudą. Byli jeńcy, oficerowie polscy, snują się z dala, na krańcach wąskiego pola widzenia, pomiędzy jedną ścianą baraków, a drugą. Dopiero na środku placu jakiś oficer minął Generała i nagle zawrócił, otwierając usta ze zdumienia.

— Panie generale, melduję się! Czy pan generał mnie sobie przypomina? I właściwie... Zaraz... Więc pan generał jest u nas... O jej, a przecież nikt nie wie...

Szybki, podniecony głos meldunku zwraca uwagę innych. Za chwilę już przed Generałem jest kilku byłych jeńców, po minucie kilkunastu i wkrótce — cały tłum. Plac wypełnia się z szybkością niewiarygodną. Parę tysięcy ludzi biegnie z baraków, alarmując tych, którzy jeszcze nie wiedzą... Pytania gonią za pytaniami. Ludzie przepychają się, aby tylko bliżej, aby jak najbliżej Generała. A jeśli nie mogą się do niego dostać, chwytają tych, którzy z nim przyjechali. Ba, czyż można się temu dziwić? Przecież większość z nich siedzi w niewoli, za drutami od września 1939 roku. Ileż problemów, ileż zagadek i ile pytań od tego czasu narosło! Od tych najważniejszych, najbardziej zasadniczych — jak formuluje jeden z oficerów: „Co będzie z Polską?“ — do zupełnie osobistych i prywatnych: — Czy nie spotkał pan gdzie mego brata, podobno był we Włoszech?

Twarze są zmęczone i zmizerowane. Nielelegantnie, źle dopasowane *battledressy*, dostarczane w paczkach Czerwonego Krzyża, zwisają luźno i nieładnie ku ziemi. Buty są zrudziałe ze starości; furażerki własnego wyrobu ze strzępów starych, przedwrześniowych jeszcze mundurów. Jednym z nielicznych wyjątków jest generał Kutrzeba, meldujący się w doskonale zachowanym polskim mundurze.

— Wiedzieliśmy, że wyzwolenie nadchodzi, ale kiedy oddziały alianckie były coraz bliżej naszego obozu, opa-

nowało nas ogromne podniecenie — opowiada brat Generała, Karol Anders, który pięć i pół lat spędził w niewoli niemieckiej. — Stosunek Niemców do nas od kilku tygodni zmienił się zupełnie wyraźnie na lepsze. Początkowo krążyły pogłoski, że obóz będzie wyewakuowany przed nadejściem aliantów. Na szczęście, zanim Niemcy zdążyli zrealizować swój plan, nasz biuletyn obozowy podał wiadomość, że nadejścia aliantów można spodziewać się każdej godziny.

— Jak to, biuletyn obozowy? — przerywam pułkownikowi.

— No, bo mieliśmy nasz własny, oczywiście tajny biuletyn, który ukazywał się na podstawie wiadomości radiowych. Za słuchanie radia groziła kara śmierci. Ukrywaliśmy więc nasz aparat w ścianie piwnicznej, zamurowaliśmy go zupełnie, tak że nazewnątrz znajdowały się tylko przewody od słuchawek. A słuchawki chowaliśmy w wydrążonych częściach leżaka. Nie zwracało to niczyjej uwagi...

W ostatniej chwili usiłowano wykonać plan ewakuacji. Dwa wozy z SS-ami podjechały do obozu, ale było już za późno. Amerykańskie czołgi były na drodze. Otworzyły ogień do Niemców, masakrując ich, nie wypuszczając nikogo żywego. Tymczasem zaś u nas w obozie, jeńcy prawie oszaleli. Wspinali się na ogrodzenia, włączli na druty, chcąc czym prędzej wydostać się na zewnątrz. Wielu z nich spadało na dół, drąc na sobie ubranie i kalecząc się na kolczastych drutach. Właściwie to nie miało sensu, przecież już chodziło tylko o kwadrans, ale trzeba tak długo siedzieć w obozie jeńców, aby zrozumieć czym jest nadejście wolności...

W dużej, ogromnej hali gen. Anders przemawia do byłych jeńców:

— „Chciałbym rozmawiać z każdym z Was, kochani

koledzy, ale wtedy musiałbym spędzić z wami całe tygodnie, a to jest niemożliwe. Pytacie, co działo się w czasie niemal sześciu lat waszej niewoli. Odpowiem wam krótko...”

I w do niedawna jenieckiej, więziennej hali, gdzie odbywały się męczące, długie apele przed członkami *Wehrmachtu*, snuje się w skrótach i fragmentach opowieść o żołnierzu polskim, walczącym na wszystkich prawie polach bitew tej wojny, o polskim lotniku i marynarzu. Popołudniowe słońce przewala się na drugą stronę obozu i poprzez wysokie, wąskie okna wpada do wnętrza hali długimi, drgającymi pyłem i kurzem wiązkami promieni. Zbiedzone, wynędzniałe twarze wydają się w tym niepełnym i nierównym świetle jeszcze biedniejsze, jeszcze bardziej z maltretowane. Na niektórych z nich zjawia się rumieniec podniecenia. Ktoś ciężko i szeroko wzdycha, jeszcze ktoś inny spuszcza głowę ku ziemi. Tam znowu czyjaś noga machinalnie postukuje o beton podłogi.

A potem, gdy padają ostatnie słowa Naczelnego Wodza, słowa — pomimo wszystko — nadziei i — wbrew wszystkiemu — wiary, piersi kilku tysięcy słuchaczy unoszą się westchnieniem ulgi, tak jakby ta nadzieja i ta wiara wychodziły na przeciw ich oczekiwaniom, marzeniom i ufności. Nikt nie daje rozkazu, lecz wszyscy razem zaczynają śpiewać: „Jeszcze Polska nie zginęła“..

Pieśń, której za drutami nie wolno było śpiewać pod karą śmierci!

NA RUINACH WILHELMSHAVEN

Niemcy, maj, 1945.

Tym razem jest naprawdę „jak w Polsce“. Porównanie tylokrotnie w ciągu przeszło pięciu lat plątania się po ziemiach obcych używane i nadużywane, z bardzo częściowym tylko, a czasem i bez żadnego uzasadnienia, znajduje tu, w rejonie Wilhelmshaven swój pełny wyraz. Stanowi to równocześnie złośliwy figiel losu, oczywiście szyderstwo w naszym kierunku. Bo przecież na ziemi francuskiej, szkockiej, włoskiej, holenderskiej, czy belgijskiej, w krajach co najmniej nam przychylnych, a często i przyjaznych nie zjawiała się Polska tak wyraźnie, tak bardzo naturalnie, jak na wrogim i zdobyczym terytorium niemieckim.

Rozciągnięte na dziesiątki mil lasy sosnowe, wzdłuż których jadą nasze wozy, przypominają fragmenty naliwickiej czy kaminowskiej puszczy. Pod wieczór gorącego dnia upał siada na ziemi i wydusza z drzew cały ich zapach żywiczny, ostry i przejmujący. Na łąkach, wypadających z lasu długimi, kończącymi się dopiero horyzontem klinami, rozkłada się wieczorny, sentymentalny zmrok. Krowy podłazą pod sam skraj drogi i wyciągając głowy ku górze, ryczą jęklivymi basami. Tu i ówdzie niezgrabnie i ciężko skaczą spętane konie.



Front włoski: Miotacze płomieni „Krokodyle” niszczą bunkry niemieckie w wałach rzeki Senio.



Front włoski: Saperzy wydobywają miny nad rzeką Senio, w czasie walk pod Bolonią.



Front włoski: Powitanie w Bolonii.

Przed ogródkami niewielkich i miłych domów wiejskich dzieci rysują kredą na ziemi jakieś znaki i prostokąty, a później, podskakując na jednej nodze, śmieją się i chichoczą między sobą.

— Zupełnie, jakby grały w „klasy“ — łapię się na zabawnej refleksji.

Ale potem powraca świadomość, że te lasy i łąki, krowy i konie, zapach żywicy i gra dzieci, że to wszystko dokoła jest niemieckie. Że cała ta sielanka jest złudzeniem, że różnie może nastrajać, ale nie ma prawa ani rozczułać, ani już chyba najmniej... przypominać Kraju.

Właśnie jednak wpadamy w małe miasteczko. W oknach domów zczerniałym złotem odbija się słońce, a przy pierwszej z brzegu willi wykwita duży krzak lilowego bzu.

Miasteczko niemieckie jest lilowe od bżów. Czerwieni się plamami róż przy oknach domów i bieli się na skwerach astrami. Mieszkańcy wyglądają dostatnio i mają miny ludzi, którym życie układa się co najmniej pogodnie, jeśli nawet nie beztrosko. Gruby facet, którego mijamy na rogu wąskiej ulicy ma dobrze odprasowane ubranie, czerwony nos i solidnie wypchaną fajkę w zębach. Gdy odwraca się, widzę go, jak uprzejmie — niedbałym ruchem podnosi trzy palce do kapełusza. Zobaczył jadący za nami samochód p.o. Naczelnego Wodza z proporczykiem i czyni w ten sposób gest wstrzeźliwego powitania. Wygląda to nieomal po błazniwie: — Dobrze, dobrze, jak już tu jesteście, to zostańcie. Ja osobiście nie mam nic przeciw temu...

Jakby na przekór tej oględnej gościnności, upominają ze słupów duże napisy: „*No fraternising*“. Zakaz bratania się ma położyć granicę nie do przebycia, przeszkodę nie do pokonania pomiędzy zwycięzcami, a zwy-

ciężonymi. Ma przekreślić łudzące podobieństwo tego kraju do Kraju innego, o którym wciąż się myśli. Ma uczynić ludzi „tutejszych“ przezroczystymi, jakby ze szkła tak, aby ich można było nie dostrzegać. Ma stworzyć na jednym, na tym samym terytorium, dwa zupełnie odrębne, nigdy ze sobą nie zahaczające się systemy życia: Niemców i nasz. Czy to jest możliwe?

Kierowca wozu umiarkowanie wyraża nadzieję, że tak. Twierdzi nawet, że „*No fraternising*“ jest zakazem popularnym, że nie trzeba groźby kar, aby był przestrzegany.

— Za to ci Niemcy witają nas z entuzjazmem — mówię wskazując na grupę cywilów, którzy wyszli z przydrożnej fermy i machają ku nam kapeluszami.

— To nie Niemcy, to są Polacy, których osiedlono przymusowo na miejscowych gospodarstwach, jako robotników rolnych — wyjaśnia kierowca.

Rzeczywiście, gdy ich mijamy, staje się dla nas oczywiste, że to nie są Niemcy. Twarze mają chude, ziemiste i zapadnięte. Ubrania nędzne i zniszczone. Na nogach zamiast butów — duże sandały. Co za kontrast z niedawno mijanymi tubylcami! Tamte twarze były okrągłe, czerwone, zadowolone z siebie. Tamta młodzież, kilkunastoletnie dziewczyny i chłopcy, może być wzorem dla eugeników całego świata — zgrabna, wysportowana, świetnie odżywiona, stanowi nieomal ideał fizycznej kondycji. Polskie dzieci, które tutaj stanęły przy starszych, są bose i blade.

Bez dłuższych opisów i rozmów można wywnioskować, że im ta ziemia, tak bardzo do Polski podobna, wcale i nigdy nie przypominała ojczystej. Że bogactwo, które aż tryska z doskonale zagospodarowanych folwarków, że zamożność i wygodą miasteczek, że dostatek i dobrobyt wszystkiego, co tu jest dokoła, nie

spływały ku nim najmniejszym nawet strumieniem, że nie spadały najdrobniejszym chociażby okruczem jałmużny dla nędzarza.

* *

Na drugi dzień przy wjeździe do Wilhelmshaven melduje się gen. Andersowi komendant miasta pułkownik Grudziński. Trochę dalej, na placu utworzonym przez bomby, zasłanym gruzami, belkami i szkłem, stoją oddziały 2-go pułku pancernego. Generał Anders odbiera raport, wita się z żołnierzami. Dzień jest, dla odmiany pochmurny i to stanowi także swoisty symbol. Tak zapewne jesienią 1939 roku, gdy skończyła się wspaniała i przekłeta wrześniowa pogoda musiały wyglądać popisy niemieckiego zwycięstwa w Polsce. Też były gruzy i też stał triumfujący żołnierz...

Generał Anders jedzie dalej. Drogę wytyczają polskie, biało-czerwone flagi. Jedna za drugą, długimi szpalerami, przez resztki wszystkich ulic. Nie można ich było umocować na ścianach domów, na balkonach i dachach, śródmieście bowiem Wilhelmshaven nie ma już domów, balkonów, dachów, ścian. Flagi powiewają więc na małych masztach, wbitych w chodniki uliczne.

Wilhelmshaven stanowi przykład dobrej, przyzwoitej roboty bombowców. Wojna inwazyjna, lądowa nie zdążyła tu dojść, zajrzała tylko oczami zwycięzców, przyjmujących kapitulację. Bombowce jednak nalatały się solidnie. Jedynymi fragmentami miejscowej architektury, które zdołały ocaleć, są wysokie schrony.

Po ulicach płaczą się Niemcy, ale trochę inni, niż wczoraj. Spokorniali, ponurzy, bez uśmiechu. Czasem w grupie ludzkiej odkryje się jakaś głowa, czasem znowu ktoś przystanie, patrząc niechętnie na jadące wozy.

Rowerzyści uciekają z jezdni. Młode kobiety wysuwają się na brzeg chodnika i starają się wåtłymi uśmiechami zamanifestować swe przyjazne uczucia.

— Niemcy przeważnie wyłazą ze skóry, aby przekształcić się na gościnnych gospodarzy — opowiadają mi koledzy z Pierwszej Dywizji Pancernej. — Nie pomijają żadnej okazji, aby nam się przypodobać. Nie chcą za nic brać pieniędzy. Przeklinają nazistów, plują na portrety Hitlera...

Na molo portu wita generała Andersa brytyjski admirał, grono oficerów *Royal Navy* i oddział honorowy marynarki J. K. Mości. Obok czeka łódź motorowa dowódcy bazy, na której trzepocze się polska bandera. Ruszamy na objazd portu.

Zatoka portu Wilhelmshaven jest długa, wąska i dlatego bardziej przypomina jezioro, niż morze. Silny wiatr rzuca szerokie bryzgi wody na pokład, na mundury, na twarze. Motorówka ostro skręca na wirażach, czasem zaś znowu gwałtownie zwalnia biegu.

— Trzeba uważać — oświadcza komandor Condor, R. N. — dno jest usiane wrakami.

Przedwcześnie jest dziś oceniać ilość niemieckich jednostek morskich, które zatopiono w zatoce portu Wilhelmshaven. W każdym razie była to duża część marynarki Rzeszy. Z dna na powierzchnię wody wyłazą gęsto, czasem jedno po drugim wierzchołki kominów, lub metalowe wiązania okrętów. Przy molo wyzieraą ściany kadłubów. Bomby wbiły w wodę dźwigi, żórawie, urządzenia portowe. Ostra fala, podrzucając naszą motorówkę, podrzuca również kłębowisko desek, resztki skrzyń, pokrywy od czegoś, co już nie istnieje i niezliczone masy złomu z rzeczy, które już nigdy nie wrócą do czynnego życia. Duże cmentarzysko okrętów. Zamarły port.

— A przecież — mówimy sobie — był to największy port wojenny Trzeciej Rzeszy.

— Czy to wszystko da się jeszcze odbudować? — pytam komandora Condora.

— W zasadzie nie istnieje nic, czego by się nie dało odbudować — odpowiada mi komandor, a potem przeciąga rękę po ogorzałym, wysokim czole, szukając argumentów do sformułowania swych zastrzeżeń. — Oczywiście, można odbudować, ale... czy się opłaci? Narazie Wilhelmshaven pozostanie dla nas tylko bazą. Co będzie dalej, zobaczymy.

Motorówka przybija do pokładu dużego okrętu. Jest to ciężki krążownik „Köln“. Wydobyto go przed kilku dniami z dna portu. Pokład dotyka prawie powierzchni wody. Wszystko zresztą na tym okręcie ocieka jeszcze wodą, jest mokre, albo czerwone od rdzy. Lufy dział, wychylające się z dużej, obrotowej wieży, zwisają bezwładnie ku dołowi. Bariery, schody, poręcze są fantastycznie powyginane. Do wnętrza zejść nie można, bo również zalała je woda. Nie ulega wątpliwości, że z czego jak z czego, ale z „Köln’a“ już nigdy i nie nie wyjdzie.

Jedziemy dalej. Na pokładzie jest coraz zimniej, a motorówka coraz mocniej przewala się z boku na bok. Schodzimy więc pod pokład, gdzie Brytyjczycy podejmują generała — szampanem.

Nawiasem mówiąc, Wilhelmshaven stało się teraz „szampańskim miastem“. W Paryżu nie ma szampana i nie ma go także w innych miastach Francji. W Niemczech jest coraz trudniejszy do dostania. Natomiast nieistniejąca stolica niemieckiej marynarki wojennej pławi się w najlepszych markach, z nieodzownym nadrukiem na etykiecie: „Reservé à la Wehrmacht, Achat & Revente interdite“. Jeden ze schronów w mieście był

zawalony butelkami od podłogi do dachu. Wojsko sobie użyło nieźgorzej a marynarka, rzecz prosta, stała się udziałowcem głównym i najważniejszym. Na pewno w najlepszych nawet dniach niemieckiej Grossflotte nie zużyto tyle butelek szampana przy spuszczeniu na morze nowych jednostek, ile płynie go w tych czasach na ostatnią, pośmiertną i pogrzebową uroczystość. Na koniec i na stypę Wilhelmshaven, jego portu i jego okrętów.

W kajucie motorówki jest zacisznie i miło. Szampan syczy i burzy się w delikatnym szkłe. Na zewnątrz, w przerwach pomiędzy bryzgami fal, migają, czernią się i wystają z wody szczątki niemieckiej potęgi.

— Bardzo miły widok — mówi jeden z brytyjskich oficerów — i w ogóle dobrze się stało, że wreszcie już nadszedł Victory Day.

A my, Polacy, patrzymy na siebie w milczeniu. Niemcy są pokonane. To dobrze. Cieszymy się z tego ogromnie. Ale...

— Obyśmy mogli tak wrócić do Gdyni i do Gdańska — mówi generał Anders, ogarniając raz jeszcze wzrokiem gdy wychodzimy na pokład, ruiny portu i zatokę.

* *

„Dziennik Żołnierza Pierwszej Dywizji Pancерnej“ nareszcie zrobił wielką, nieomal zawrotną karierę. Już nie tłoczy się w ciasniutkich lokalach, nie gnieździ w cygańskich wozach, nie narzeka na brak prądu do linotypu, czy też na małą ilość matryc. „Dziennik Żołnierza“ może dziś imponować niejednej prawdziwej, pokojowej, nawet londyńskiej redakcji. Zainstalował się w lokalu „Wilhelmshavener Kurier“, tutejszego

organu partii hitlerowskiej. Pokoje redakcyjne są duże, jasne i wygodne. Monotonnie szemrze teleskryptor, cicho gra nowiuteńki aparat radiowy Telefunken. Dwie wcale, wcale przystojne blondynki, klepią szybkostrzelnie na maszynach i witają uprzejmym: „Good day, Sir“!

— Skądżeście wyfasowali te dwie ładne Angielki? — indaguję zdobywcą redakcję.

Więckowski uśmiecha się skromnie, a Or-Si oburza się na mój brak domyślności:

— Cóż znowu za Angielki, przecież to są dwie Niemki, które z własnej woli, słuchają biuletynów B.B.C. i później robią z nich dla nas streszczenia. Zresztą w ogóle cała ta eks-hitlerowska redakcja zanudza wciąż prośbami, aby pozwolić im na wydawanie w języku niemieckim pisma już nie tyle przychylnego, ile wręcz entuzjastycznego dla aliantów.

Gdy p. o. Naczelný Wódz wraz z generałem Maczkiem, Rudnickim, oraz innymi oficerami polskimi z Dywizji Pancерnej i okręgu Wilhelmshaven zajeżdża do redakcji, czeka go, obok grona współpracowników, znowu ślad niemieckiej akcji rabunkowej: butelki francuskiego szampana.

— Może pan generał pozwoli, bo to przecież na naszym, zdobyczym terenie — melduje się z zaproszeniem redaktor „Dziennika“.

Ale równocześnie plutonowy Goll, niegdyś drukarz warszawski, zachwala przed generałem drukarnię. Że sześć linotypów, że tempo, że rozmach. Generał więc idzie na górę, aby zobaczyć maszyny. Przy kasztach prężą się niemieccy zecerzy z wyrazami twarzy, które nic nie oznaczają. Generał chodzi od maszyny do maszyny, od formy do formy, słuchając uważnie wyjaśnień Golla i Wysockiego.

— Proszę panów, ja jestem też trochę redaktor —

stwierdza z uśmiechem. — Zapytajcie o to naszych wspólnych kolegów z „Orła Białego“. Niech oni wam powiedzą, jak to było w Rosji i na Bliskim Wschodzie i we Włoszech. No i zapytajcie też Rubla z „Dziennika Żołnierza A.P.W.“.

— Pan porucznik Rubel, melduję panie generale, zakładał przecież i nasz „Dziennik“ jeszcze kiedyś w Szkocji. W czterdziestym roku — przypomina plutonowy Kazio Wysocki.

— No widzicie, jak daleko zaszliście — śmieje się generał — ze Szkocji do Wilhelmshaven. Taki szmat drogi do Polski. Musimy wierzyć, że i resztę przebedzimy.

No prośbę redakcji Dziennika pisze generał na blankiecie „Wilhelmshavener Kurier“ krótką dedykację:

„W stolicy marynarki niemieckiej, jako symbolu zwycięstwa wspaniałej Pierwszej Dywizji Pancernej, w marszu naszym żołnierskim do Gdyni i Gdańska, dziękuję „Dziennikowi Żołnierza“, wiernemu towarzyszowi broni „Pancernych“, za trud dla naszej Sprawy“.

* *

Przejdźcie do wielkiej sali w gmachu dowództwa marynarki niemieckiej, gdzie drugi pułk pancerny podejmuje generała Andersa obiadem, prowadzi przez mały przedsionek. Kwadrat podłogi przedsionka zasłata całkowicie flaga hitlerowska. Każdy, kto wchodzi do sali, musi przekroczyć tę flagę i musi ją podeptać. Nawet, gdyby nie chciał. Ale my chcemy! Uczucia nasze, właśnie w tym byłym niemieckim dowództwie, domagają się satysfakcji, żądają drobnego chociażby zadośćuczynienia za wszystko, za wszystko co było. Zdeptana,

zbrudzona pyłem nóg flaga jest pierwszym symbolem sprawiedliwości.

Drugim symbolem są barwne herby poszczególnych jednostek niemieckiej marynarki, wymalowane długimi rzędami na ścianach. Oto wszystko, co pozostało z „Grafa von Spee“, „Tirpitz“, „Bismarck“, „Kölna“ i tylu innych, dumnych, złowróżbnych okrętów Rzeszy. A Wilhelmshaven zagląda przez okna do sali kikutami domów i wież.

Siedzący naprzeciw mnie przy stole młody, czarny podporucznik ma na sobie amerykańską kurtkę z polskimi gwiazdkami i ascetyczną, ziemistą twarz. Oficer Armii Krajowej. Opowiada o ostatnich dniach walk w Warszawie w czterdziestym czwartym roku.

— Już nie było domów w śródmieściu, tylko wszędzie łuny pożarów i masy ciemnego, gryzącego dymu. Okropny zaduch szedł od pogorzelisk i od ludzkich trupów, które leżały wszędzie. Wiedzieliśmy już wtedy, że musimy kapitulować, lecz wierzyliśmy, że jeszcze przyjdzie sprawiedliwość i że nadejdzie zwycięstwo.

...Że jeszcze przyjdzie sprawiedliwość... Że nadejdzie zwycięstwo... Patrzymy na człowieka z warszawskiego powstania i wiemy, że ani ta flaga, która leży w przedsionku, ani ruiny, które czernieją za oknem nie są jeszcze zwycięstwem i sprawiedliwością!

WARSZAWIANKI W OBERLANGEN

Niemcy, maj 1945.

— Pogoda dziś jest bardzo nieprzyjemna. Stanowczo nie radzę lecieć tymi, jak wy nazywacie, „Kubusiami“ — ostrzega brytyjski komendant byłego niemieckiego lotniska pod Wilhelmshaven.

Naprawdę pogoda jest nieprzyjemna. Duże, gęste chmury przewalają się nad głowami, a szybki, porywisty wiatr szerokimi deseniami rozściela trawę po ziemi. Trudno jest utrzymać równowagę tu, na dole. Cóż dopiero musi dziać się tam, wyżej?

Ze zupełnie zdecydowaną niechęcią patrzę na trzy „Kubusie“, przygotowane na nasz lot. Miałem już parę razy wątpliwą przyjemność latania „Kubusiami“ i wiem w jak słabym stopniu porównanie: „trzęsie niczym zdezelowany motocykl, tyle tylko, że na dziurach powietrznych“, oddaje niemiłą rzeczywistość. Sądząc z ponurego uśmiechu kapitana L. on też nie pali się do lotniczych wawrzynów.

Ale generał Anders nie chce nawet słuchać złowróżbnych horoskopów. Czy można wystartować? Tak. Czy będzie można lądować? Tak. Więc... nie ma o czym gadać. Lecimy.

Pierwszy, jak nakazuje etykieta i prosty regulamin

startuje „Kubuś“ generała. Start ma lekki i szybki, tak że już po paru, dosłownie, sekundach widać jak gwałtownie przechyla się w powietrzu, zapada w dziury i w ogóle robi wszystko, aby zniechęcić innych do pójścia w jego ślady. Pomiędzy samolotem kapitana L. i tym, którym ja lecę zachodzi małe, towarzyskie nieporozumienie. Toczą się obydwa jakiś czas obok siebie, jakby piloci nie mogli zdecydować się kto jest ważniejszy: adiutant, czy korespondent. Roześmiany kapitan kanadyjski, który pilotuje „mój“ samolot daje prasie pierwszeństwo: podrywa szybkim ruchem drążki steru i oto już jesteśmy nad hangarami.

— We are first, before the A.D.C.!—przekrzykuje huk motoru, niewiadomo z radością, czy z zakłopotaniem.

A tamten, trzeci „Kubuś“, szaleje z nadmiaru inicjatywy. Jest nad nami i pod nami, wypływa z lewej strony, to znowu figlarnie wyłania się z prawej. Raz nawet zbliża się tak bardzo, że wyraźnie widzę zbiegającą i spowazniającą od podmuchów wiatru twarz L. Korzystając z tego zamieszania, „Kubuś“ generała pruje naprzód. Zmniejsza się coraz bardziej, aż wreszcie zamienia w niewielki punkt i roztapia na tle dużej, ciemnoszarej chmury, która pędzi wprost na nas.

Uciekamy przed nią w dół. Schodzimy na wysokość tak niską, że widzę różnokolorową białiznę, która suszy się na podwórzu jakiegoś domu pod nami. Drzewa wyglądają jak byśmy mieli szczerzy zamiar za chwilę usiąść na nich. A potem wyskakujemy nad równe, regularne koryto rzeki Ems i chwiejemy się nad nim już nieco spokojniej. Szybkość, jak na powietrzny środek lokomocji, jest raczej niewielka, nie dochodzi nawet do setki mil na godzinę. Tym łatwiej więc można obserwować cały rejon Wilhelmshaven, który przecinamy z północy na południe.

Ems jest wzorowym przykładem ludzkiej pomysłowości w ujarzmianiu rzeki. Nie tylko niskie, szerokie wały ujęły ją w ramy dyscypliny i posłuszeństwa. Liczne kanały prócz tego zapobiegają powodziom, wylewom i osuszają teren, który kiedyś musiał być bardzo bagnisty. Nie ma większych ośrodków przemysłowych na naszej trasie, to też nic tu nie przypomina wojny. Małe miasto Leer nie potrafi pochłubić się ani jedną ruiną, ani jednym zburzonym domem. Trochę dalej Papenburg, znany z walk Pierwszej Dywizji Pancernej, też nie wygląda na ofiarę działań bojowych. Akcja rozgrywała się na przedpolach miasta, gdzie żółcą się i białą dziury po pociskach. Obok, w dużych wielokątach lasów Niemcy poukrywali obiekty przemysłu wojennego. Stąd, z góry widzi się wyniki precyzyjnej pracy bombowców. Fabryki i lotniska schowane w lasach zostały zupełnie spalone i zryte bombami. Obok, tuż za ostatnimi drzewami i krzakami tkwią nadal domy i zabudowania nie musnięte nawet odłamkiem.

Wiatr staje się znowu ostrzejszy, coraz mniej umiarkowany. Każe nam posuwać się trasą bardzo falistą i uniemożliwia obserwację ziemi. Zaczynam myśleć nie o Niemcach, lecz o obozie, do którego lecimy. Obozie kobiet polskich w Oberlangen. Tych samych, które wzięte do niewoli jako żołnierze Armii Krajowej w Warszawie, zostały w kwietniu wyzwolone przez zwycięski marsz Dywizji Pancernej. Jak wyglądają te kobiety? Co myślą? Czego się spodziewają, i... jaki jest ich stosunek do nas, żołnierzy emigracji?

* *

Kompanie stanęły wzdłuż baraków. Na pozór odbywa się wszystko tak, jak na przeciętnym, normalnym prze-

glądzie. Szeregi są wyrównane, ustawione według wzrostu, ściągnięte i wyprostowane na „baczość“. Głowy zwracają się gwałtownym, mechanicznym ruchem w komendzie „na prawo patrz“! Armia Krajowa była przecież nie tylko bohaterskim, ale i regularnym, ale i zdyscyplinowanym wojskiem...

W powietrzu jest bezgłośnie, bo nawet wiatr ustał, słysząc tylko chrzęst żwiru pod nogami idących, a trochę później doniosły głos komendantki, składającej p.o. Naczelnemu Wodzowi meldunek. I znowu na długo jest już tylko ostry zgrzyt kroków na tle ciszy tak zupełnej, że aż ciężkiej do wytrzymania, że aż niemożliwej do zniesienia. Bo, w tej chwili chodzi nie tylko o ciszę. Szeregi z bliskiej, bezpośredniej odległości przestają być przeciętnym i normalnym wojskiem, stają się tym, czym są naprawdę: strzępem dramatu i wycinkiem niezwykłości.

Stało tu parę pokoleń. Od twarzy bardzo starych, od włosów srebrzących się jednolitą, zupełną siwizną, aż do podlotków, aż do dzieci, które by się chciało wprost stąd natychmiast przenieść do szkoły. Mój Boże, nie tylko do szkoły, bo ta mała, która stoi na lewym skrzydle nie ma chyba więcej niż sześć lat. Dostała się do niewoli wraz z matką.

Są twarze, na których pozostały jeszcze ślady dawnej ważności, wpływów, znaczenia. Są inne, patrzące na świat naiwnie i niedoświadczenie. A równocześnie we wszystkich twarzach, tak samo wynędzniałych, wyniszczonych i biednych, zamknął się jeden, wspólny wyraz, trudny do nazwania, niemożliwy do określenia. Jakby jakaś ostra, bolesna refleksja przeszłości. Jakby jakaś tajemnica, której — tak zdaje się twierdzą te twarze — nikt inny zrozumieć nie potrafi. Nie, nie ma w oczach łez, ani rozczulenia. Są one może nawet zim-

ne, a na pewno badawcze. Nie trudno odgadnąć, że to, co te oczy widziały uniemożliwia dziś reakcję sentymentalną i liryczną.

W zbyt długich, zaniedbanych, nie pielęgnowanych, włosach, w rzędach przypadkowo dobranych battle-dressów, w ciężkich, w za dużych butach, w różnorodnej mieszaninie beretów, czapek i furazerek, nie można odnaleźć zarysów zalotnych, kobiecych sylwetek. Gubi się gdzieś pojęcie urody i brzydoty. W tych tak bardzo żołnierzach, a tak mało kobietach, nie można odnaleźć dawnego czaru, uroku i piękna Warszawianek. I rozumiemy, że oto przechodzimy wobec nowej, nieznannej nam terazniejszości Kraju. Uświadamiamy sobie, chyba bardziej niż kiedykolwiek, że nie ma już powrotu do tamtych, sprzed wojny wspomnień, do tamtej, zamkniętej i skończonej przeszłości.

Generał Anders nie chce traktować tego obozu w sposób za bardzo regulaminowy.

— Zbliżcie się tu wszystkie, dziewczęta, bo chcę wam parę słów powiedzieć — zwraca się do szeregów po skończonym przeglądzie.

Szeregi łamią się, rozpadają, aby zacieśnić się i zamknąć dużym kołem. Ale nie ma gwaru i twarze pozostają wciąż te same. Wyczekujące.

Generał mówi spokojnie, ale stanowczo. Tak, jakby wykladał pogląd, może nie dla wszystkich przyjemny, czy też nie dla wszystkich do przyjęcia, ale dla niego najzupełniej oczywisty i nie podlegający dyskusji. Walka z karabinem w ręku nie jest zadaniem kobiety. Tak, musiałyście walczyć, ale to już się skończyło. Do karabinu nadaje się żołnierz, mężczyzna i on to robi lepiej, niż wy. Są natomiast dziedziny w wojsku, w których kobieta jest niezastąpiona. Jakże wiele istnień ludzkich uratowały w tej wojnie kobiece ręce! Idąc poprzez Ro-

sję, Wschód i Włochy — kobieta pomagała żołnierzowi Drugiego Korpusu jak mogła, jak tylko potrafiła. Czy to jako sanitariuszka, czy świetliczarka, czy kantyniarka. Dzisiaj dorobek ochotniczek jest ogromny. Wy też dołączycie do nich. Część z was, w miarę możliwości, pójdzie do szkoły...

Kobiety - żołnierze słuchają i nie można odgadnąć, czy zgadzają się z poglądem, że walka bezpośrednia nie powinna być udziałem kobiety, czy nie. Lecz gdy słyszą o planach na przyszłość, ożywiają się wyraźnie.

— Czekaliśmy przede wszystkim na zapowiedź naszego przyszłego losu — zwierza się potem jedna z nich.

Wiele ochotniczek chce rozmawiać z generałem. Wszystkie w sprawach osobistych: czy generał nie spotkał w Rosji „przypadkiem“ mego męża? Czy zna może mego brata, który walczył we Włoszech? Czy nie wie, gdzie znajduje się mój syn, był podporucznikiem kawalerii w trzydziestym dziewiątym roku?

— Może ma pan ochotę zwiedzić obóz? — zaprasza mnie gościnnie młoda ochotniczka o włosach ciemnoczerwonych, koloru przepalanej miedzi.

Korzystam skwapliwie z okazji. Idziemy do baraków, przechodzimy przez place, zwiedzamy kantynę. Baraki są duże, szerokie, widne. Łóżka nie mają wprawdzie materaców, ale za to są wyposażone w wystarczającą ilość koców i w małe, polowe poduszki. Wszędzie jest bardzo czysto, w pewnym nawet sensie komfortowo, to znaczy komfortowo w stylu jak najbardziej wojskowym i jak najoczywiściej obozowym.

— Zupełnie niezły macie obóz — mówię zdziwiony.

— Tak, teraz jest całkiem dobrze — odpowiada mi moja „Beatrycze“ — ale, proszę pana, Niemcy nas trzymali nie w tym obozie. Tamten, z czasów niewoli, znajduje się o parę kilometrów stąd. Gdy polscy żołnierze

nas uwolnili, postarali się, abyśmy zostały przeniesione jak najszybciej tutaj.

— A co tu było?

— Również obóz i zdaje się poprawczy, ale dla Niemców, bodaj nawet dla hitlerowców.

Kobiety w barakach nie narzekają na materialną stronę swojej obecnej egzystencji. Owszem, jedzenie jest dobre i w ilości całkowicie wystarczającej. Mała Krysia Szczycińska — dawna znajoma z Warszawy, którą dziwnym przypadkiem spotykam w jednym z baraków — chwali się najpierw nowymi, żółtymi butami, a dopiero później opowiada mi długą i smutną historię o mojej rodzinie. Buty zresztą są dzisiejszą sensacją. Nawet starsze panie cieszą się nimi, jak dzieci.

Jedenastoletni Mirek Wojtusiński, który z racji wieku uchodzi tu też trochę za kobietę, jest tak zajęty oglądaniem swoich butów, że nie zwraca uwagi na rozmowy.

— Tatusz zginął we wrześniu — odpowiada wreszcie cienkim głosem. — A z mamusią nie wiem co się stało.

— A czy ty też walczyłeś w powstaniu? — pytam.

Mirek patrzy na mnie nieco lekceważąco i zbywa pytanie milczeniem. Wydaje się urażony, że ktoś może mieć jakiekolwiek wątpliwości w sprawie jego udziału w walkach.

— Mirek był łącznikiem — wyjaśnia jedna z pań (niebardzo wiem, jakiej mam tu używać terminologii: „panie“, „kobiety“, „żołnierze“, „ochotniczki“...) — roznosił rozkazy, przeciskał się pod domami, które nieraz płonęły, chodził w kanałach...

— Kanały, proszę pana, są specjalnym rozdziałem walk Warszawy — mówi ktoś obok. — Wyjątkowo dramatyczna była ewakuacja ze Starego Miasta do Śródmieścia. Odbывała się ona prawie całkowicie właśnie

tunelami. Ciemności utrudniały każdy krok. Ciecz i błoto ze ścieków, sięgały prawie do kolan. Oprzeć się nie było o co, ręce bowiem ślizgały się na półkolistych ścianach kanałów. No i — Niemcy! Opanowali już oni część ulic i wiedzieli, że mamy zamiar uciekać tą drogą. Świecili więc poprzez otwory w jezdni latarniami i gdy zauważyli jakikolwiek ruch, rzucali granaty. Musieliśmy więc iść pojedynczo. Czy pan rozumie, co to znaczy? Iść pojedynczo, w kompletnych ciemnościach, w strachu przed zabłądzeniem! W obawie przed wejściem na którymś skrzyżowaniu w niewłaściwy korytarz, lub przed upadkiem, który może zakończyć się utonięciem w ohydnej cieczy! Zdarzało się, że ludzie wtedy dostawali ataków hysterii. Że tracili zmysły. Kilka osób zwariowało. A trzeba było iść...

— Ee, to już jest przeszłość. Nie warto do tego wracać. Czy napije się pan herbaty w naszej kantynie? — przerywa towarzyszka opowiadającą.

— Lekko pani o tym mówi — stwierdzam z urazą. — O takiej przeszłości nie można zapomnieć.

— My też o niej nie zapominamy. Walki w Warszawie pozostaną najdroższym, największym wspomnieniem naszego życia. Ale to już minęło. Przestańmy się rozczulać. My nie lubimy ani bohaterskich opowiadań, ani bujania w obłokach, dlatego też bardzo nam podobają się nasi żołnierze z Dywizji Pancерnej. Przyjeżdżają tu do nas i mówią prawdę. Stwierdzają, że jest ciężko, że jest wiele przeszkód na naszej drodze do Polski...

— Bo myśmy wyobrażały sobie w Warszawie, że tu jest lepiej, że wszyscy chcą pomóc Polakom, że nie ma żadnych przeszkód politycznych — dorzuca starsza, siwa pani, która przed chwilą dołączyła się do naszej rozmowy.

— Początkowo nie chcieliśmy wierzyć, że nasi sprzymierzeńcy na zachodzie mogą choć przez chwilę zastanawiać się nad celami polityki bolszewickiej w Polsce. Przecież to są takie jasne sprawy! — mówi „Beatrycze“.

Dyskusja schodzi na tematy bieżące i kończy się ich jedną, wspólną prośbą:

— Niech pan napisze i niech pan wszystkim to mówi, że najgorsza dla nas obecnie jest bezczynność. Dławimy się i dusimy w tym trybie życia, który nie niesie nam nic nowego. Zabijamy czas, jak tylko możemy. Mamy wykłady, zorganizowane przez nasze koleżanki, mamy ćwiczenia fizyczne, mamy nawet musztrę. Ale my chcemy wrócić do normalnego życia. Chcemy być czynne. Chcemy pracować!

Jest już prawie zmierzch, gdy generał Anders i my dwaj wsiadamy do naszych „Kubusiów“, czekających na małym lądowisku przy drodze. Pogoda popsuła się jeszcze bardziej. Ogromne, ciemnoszare, niemal czarne chmury zakryły cały horyzont. Wiatr dmie w plecy przy starcie, więc podrywamy się szybko i gwałtownie. Okrążamy na szosie grupkę kobiet, które machają ku nam pożegnalnie rękoma. Wracamy tą samą trasą, mijamy te same domy, wsie i miasteczka. Ludzi nigdzie nie widać, bo właśnie deszcz zaczął padać dużymi i grubymi kroplami. Ludzie więc ukryli się w domach.

— W swoich domach — myślę. — Chociaż popełnili tyle zbrodni, chociaż narobili tyle nikczemności, chociaż przegrali wojnę, to jednak zachowali domy. Niemieckie domy na niemieckiej ziemi.

A my?

WŚRÓD POLAKÓW — OD OSLO DO TROMSÖ

Tromsö, w lipcu 1945.

Dochodzi godzina trzecia w nocy, gdy zaczynam pisać ten niby-reportaż, niby-pamiętnik z długiej podróży Oslo — Stavanger — Bergen — Trondheim — Narwik — Tromsö. Pomimo, że, teoretycznie biorąc sprawę, jest w tej chwili głęboka i kompletna noc, słońce świeci jaskrawo, rozpada się jasno-czerwonymi promieniami zza gór i przelewa się czerniałym złotem w wodach fiordu. Okna domów są otwarte, ludzie przechadzają się po ulicach, jest bardzo głośno, gwarno, życie dopiero teraz, wydostawszy się z dławiących kleszczy upału zaczyna się stawać normalne i energiczne. Daleka, norweska północ nie zna nocy o tej porze roku, nie zna nawet zmroku i nie widuje zachodu słońca. Wciąż białe żółte, lub jaskrawo czerwone słońce wisi nad horyzontem, czyniąc fikcją godziny i wywracając porządek doby. Ludzie pracują, jak im się podoba. Późnym wieczorem, lub wczesnym rankiem można zejść do tego, lub innego biura i przeważnie zawsze załatwić każdą sprawę. O północy dostrzega się zgarbione sylwetki chłopów, pocących się nad nieurodzajną, skalistą i niemal jałową ziemią norweską. Stukot maszyny do pisania w moim pokoju nikogo nie dziwi: wręcz przeciwnie — z okna

domu, po drugiej stronie wąskiej ulicy, wychyla się kilka kobiecych i męskich twarzy. Zapraszają mnie swoją wątłą i twardą, angielszczyzną, abym przyszedł na drinka. Dobrze, dobrze, tylko muszę uporządkować przed tym chaos wrażeń i spostrzeżeń, aby przestał być chaosem, a stał się czymś, co potrafi doprowadzić do normalnego wniosku. Bo inaczej zagubię się w powodzi obrazów, widzianych z okien samolotów i hydroplanów, z pokładu statku, zza szyb samochodów. Inaczej ugrzęznę w gąszczu rozmów, popłaczę się w dziesiątkach i setkach twarzy polskich, brytyjskich, norweskich, niemieckich, rosyjskich...

* *

— No naturalnie jest nam lepiej, niż było pod Niemcami — mówi do mnie w Skien, gdzie jest obóz Polaków, Józef Huszcza, szewc z Mławy. — Jedzenie takie znowu dobre nie jest, ale pan przecież wie, że w całej Norwegii z jedzeniem bardzo trudno. Baraki, jak sam pan widzi, są niezłe...

Naprawdę baraki są niezłe. Niemcy w ciągu przeszło pięciu lat swego pobytu w Norwegii wybudowali w całym kraju setki obozów. Dla swego wojska, dla robotników cudzoziemskich z organizacji Todta czy z II NSKK (transporty i zaopatrzenia), dla jeńców wojennych. Obozy wyglądają przyzwoicie, baraki są nowe, wszędzie porządne prycze, urządzenia kanalizacyjne, duże okna i polowe kuchnie.

Fantastycznie urocze krajobrazy, ciągnące się na całe dziesiątki kilometrów lasy, powietrze górskie nadają wielu z tych obozów charakter raczej wypoczynkowego, niż przymusowego miejsca pobytu. Dziś najlepsze z tych obozów zajmują wojska niemieckie, w gorszych

zaczynają stopniowo lokować Polaków, którzy wciąż spływają z dalekiej i niezawsze dostępnej przy braku transportu norweskiej północy. Obóz w Skien jest właśnie jednym z tych, które przeznaczono dla naszych wysiedleńców.

— Ale są rzeczy nieprzyjemne — ciągnie Huszcza.

Kilkudziesięciu ludzi, otaczających nas kiwa potakująco głowami. Tak, tak, mówią, coś z tego, że są baraki, że jest wreszcie czysto, kiedy człowiek został wszystkiedo pozbawiony. Nie ma gazet, nie ma książek. Nic nie można Norwegom wytłumaczyć i często zdarza się, że Polaków spotykają duże i niezasłużone krzywdy.

— Jak my byli w Tinnoset, w okręgu Notodden, to tamtejsza gazeta, która się nazywa „Telen“ napisała, że my tu przyjechali, jako ochotnicy, pomagać Niemcom trzymać za pysk Norwegów — tłumaczy mi Jan Grochowiak z Warszawy. — Nasz brat Polak, wiadomo, nie zawsze po norwesku się wyjęzyczy, a Niemcy specjalnie tak mówili, żeby na nas miejscową ludność podjudzić. To jak Niemcy poddali się, Norwedzy chcieli i nas wpakować za druty, że my niby takie germańskie sługi.

W parę godzin potem badam tę sprawę z norweskimi opiekunami obozu p.p. Christiansenem i Nicholsonem, oraz z polskim oficerem łącznikowym kpt. Pawłowskim. Wszystko się, niestety, zgadza, jak w przedwojennym, polskim rozkładzie kolejowym. Rzeczywiście „Telen“ zamieściła nieprzyjemną notatkę. Redaktorzy prowincjonalnego pisma uznali w czasie rozmowy swój błąd, ale nie chcą zamieścić sprostowania, nie chcą stwierdzić jasno i ponad wszelką wątpliwość wyraźnie, że Polacy nigdy z Niemcami nie pracowali. Idą w ruch telefony, dzwonimy, piszemy projekty sprostowania. Powołuję się na moje znajomości w Oslo, na mój międzynarodowy

charakter korespondenta przy SHAEF'ie. Wreszcie po dwóch dniach prośb, grózb i perswazji oporna redakcja zgadza się dać świadectwo prawdzie.

— Widzi pan, jak trudno jest załatwić nawet taką stosunkowo drobną sprawę — stwierdza w drodze powrotnej do Oslo kpt. Pawłowski — a przecież tych konfliktów i komplikacji jest masa w każdym obozie i narastają nowe z każdym dniem.

* *

— ... a przy sposobności niech pan skoczy, będąc już w Oslo, do Narwiku — powiedział mi dobroliwie na pożegnanie kierownik PAT'a w londyńskiej redakcji.

Żwawo i ochoczo zgodziłem się na tę sugestię i z wrodzonym mi poczuciem dyscypliny wypisałem w kalendarzyku na jednym z dni mego pobytu w Norwegii słowo: „Narwik“, podkreślając je trzema grubymi liniami. Nieliczni „podhalańcy“, rezydujący przejściowo w Londynie zzielenieli z zazdrości, gdy im oświadczyłem, że będę w Narwiku. W słowach, pełnych entuzjazmu, udowodnili jasno i ponad wszelką wątpliwość wyrażnie, że Narwik jest najprzyjemniejszym miejscem pod słońcem, a Narwiczanki — najcudowniejszymi stworzeniami na świecie.

— Well, to może być nawet ciekawe — mruknął z uznaniem mjr. Home, senior officer SHAEF w Oslo, gdy mu zreferowałem mój projekt narwicki — nie powinno to panu zająć więcej czasu, niż sześć do ośmiu dni.

Jęknąłem z przerażenia i zacząłem się targować. Poszły w ruch mapy i atlasy, kombinacje transportowe i dobre rady. Z tymi ostatnimi było najgorzej, bo jeszcze żaden z korespondentów tak daleko nie jeździł.

W końcu powstała marszruta: do Stawanger samolotem, stamtąd poprzez Bergen do Trondheim hydroplanem i dalej do Narwiku statkiem. Razem pięć dni.

— Dużo — skłamałem los.

— Mało — odpowiedział złośliwie tenże los i postojami w portach dołożył jeszcze jedną dobę.

Później, z mojej własnej już inicjatywy przyszła droga do Trömsö. Łącznie przeszło tydzień.

* *

M/S Ragnvald Jarl, którym płynę z Trondheim do Narwiku jest stosunkowo dużym statkiem i w dobrych przedwojennych czasach na pewno zwabiał na swój pokład wielu turystów. M/S Ragnvald Jarl kilkanaście lat już jeździ po fiordach norweskich i dla jego załogi nie ma większej przyjemności, niż tłumaczenie wszem wobec i każdemu z osobna, gdzie się kończy jeden fiord i zaczyna następny, jak nazywają się poszczególne pasma gór i kiedy, dokładnie którego dnia i o której godzinie słońce przestanie zachodzić. Załoga M/S Ragnvald Jarl lubi cudzoziemców, przeważnie mówi po angielsku i przepada za angielskimi papierosami. Kajuty są wygodne, na pokładach dużo trzciniowych krzeseł i wszystko byłoby znakomicie, gdyby nie pewien drobniaczek. Statek jest obliczony na niewiele ponad stu pasażerów — jedzie nim teraz ponad tysiąc. Wszystkie przejścia zawałają bagaże, tłumoki, walizy, rowery, kosze. Pasażerowie śpią na pokładach, w szalupach, nawet na mostku kapitańskim. Gdy wychodzę rano z mojej kabiny, muszę jak cyrkowiec przeskakiwać przez dziesiątki ludzi, odsypiających na każdym wolnym skrawku przestrzeni białe, a stopniowo i słoneczne noce.

— O czwartej nad ranem zaczął się na górnym po-

kładzie dancing i trwał aż do breakfestu — informuje mnie sierżant MacKenzie — to jest dziwny naród, sir. Cały dzień płaczą się jak muchy, a w nocy rozpoczyna się bal. Ale za to jest dużo ładnych girls... — wzdycha poządliwie.

Sierżant MacKenzie jest drugim i ostatnim, poza mną nie-Norwegiem na statku. Ma nasz wspólny prowiant w dużej drewnianej skrzyni i codziennie z rana przechodzi do mojej kabiny, przerzucając w ciężkim namyśle puszki z konserwami.

— To jest dobre, to też nie jest złe. Tego także byłoby szkoda — mruczy w rozterce.

Sprawa jest prosta. Mamy wprowadzić konserwy, ale nie mamy niczego, na czym moglibyśmy jeść, lub podgrzać takie powiedzmy beans'y, czy jakieś inne rozdrobnione kartofle, czy też ugotować herbatę. Zawarliśmy więc umowę z chief-stewardem, że zamiast kartek żywnościowych będziemy dawali mu pewną ilość konserw. Jadamy zatem na podstawie handlu zamiennego w ogólnym dining roomie, przy stoliku z dwujęzycznym, norweskim i angielskim napisem: „For the British people only“. Chief steward kocha Anglików i cieszy się naszymi papierosami, jednak w sprawie kartek na jedzenie nie mógł ustąpić na jotę. Trudno, taki jest przepis: w sklepie, czy w restauracji za każdy prowiant trzeba dać kupony. MacKenzie znowu jest Szkotem i z zasady nie lubi dawać zbyt wiele. A że przy tym norweskie przygotowane ryby są dużo gorsze od angielskich konserw, coranna rozterka MacKenziego wzrasta niepokojąco w miarę upływu czasu.

Norwedzy początkowo obchodzą nas w milczeniu i nieufnie. MacKenzie, jako mój z urzędu i z woli wszechwładnego SHAEF'u, opiekun i doradca, uważa za swój święty obowiązek nie pozostawić mi ani jednej wolnej

chwili czasu. Rozmowy nasze są długie, ale raczej monotonne: roztrząsamy wciąż problem, co jest piękniejsze: Norwegia, czy Szkocja? Pod koniec jednak pierwszego dnia podróży MacKenzie daje pokój porównaniom — wpływamy w szeroką gmatwaninę fiordów, przesuwamy się pod ośnieżonymi łańcuchami górskimi, jest duszno od upału, „niezachodzące słońce“ gra w wodzie wszystkimi kolorami.

Jest ponad wszelką miarę pięknie. Wody w fiordach jakby się wzdymały ku górze, tam gdzie zatapia się w nich słońce, to znowu jakby niknęły w coraz to niższej i niższej płaszczyźnie, tam gdzie zlewają się w jedną całość z błękitno białymi górami. Jest coś niesłychanie urzekającego w tej skali, w tym bogactwie kolorów od jaskrawej czerwieni, aż do ciemno granatowej, prawie czarnej głębi. Fascynują barwy rozrzucone na falach fiordów i u stóp gór, owijających się do koła wysepek, które wyłaniają się zza horyzontu, aby za następnym horyzontem zginąć. Jest równocześnie coś groźnego i obcego w tych dziesiątkach i setkach kilometrów prawie pustych, prawie że zupełnie pozbawionych ludzkiej obecności. Co kilka godzin wpływamy do jakiegoś portu, gdzie na molo wychodzi cała ludność, bez względu na porę dnia i nocy. Miasteczka wznoszące się nad tymi portami są lilipucie: kilkanaście domów, jedna ulica, składy i to wszystko. Wszyscy mieszkańcy bez trudu mieszczą się na niewielkim molo.

W drugim dniu jazdy krąg moich znajomości rozszerza się. Zawieram trwałą przyjaźń z piętnastoletnią Brit Johansen z Bodo. Brit chodzi do szkoły i dlatego mówi po angielsku. Z zapamiętaniem opowiada mi o swoim kraju, o tym jak bardzo jest dumna, że jest Norweżką i że nigdzie chyba nie jest tak pięknie, jak właśnie w Norwegii. Z ostatnim twierdzeniem się zgadzam, ale

normalne życie w Norwegii nie wydaje mi się zachęcające.

— Cóż wy robicie w zimie? Przecież wtedy dla odmiany nie ma wcale słońca, a poza tym ciężko jest i nudno mieszkać w takich maleńkich osadach, gdzie tylko parę razy na tydzień zawija jakiś statek — mówię.

— O nie — zaprzecza gwałtownie Brit, — w zimie jeździmy na nartach, czytamy dużo książek, a połowy ryb są w tym czasie najbogatsze. A jak jest w Polsce?

Gdy zaczynam opowiadać o Polsce, grono słuchaczy się powiększa. Zbliża się młoda i piegowata panna Sigrid Varnes, jej narzeczony Johannes Eckhoff, znany mi z afiszów aktor norweskiego filmu i sceny Nic Aagaard, kapitan statku i kilku oficerów. Podkreślają, że ten temat jest dla nich specjalnie interesujący:

— Oba nasze kraje znajdują się w obszarze Morza Bałtyckiego, z punktu widzenia gospodarczego Polska interesuje nas wyjątkowo silnie...

— Wiem — potwierdzam — rokujecie teraz z ludźmi, którzy są w Warszawie o dostawę naszego węgla.

— Właśnie! — potwierdzają skwapliwie. — A co będzie z wami? Co będzie z tymi wszystkimi Polakami, którzy są w tej chwili za granicą? Czy wy wrócicie do swego kraju?

Zaczynam wyjaśniać dla obcych tak skomplikowany, a dla nas tak prosty problem powrotu i... niepowrotu.

— Tak, tylko że widzi pan... My bardzo lubimy Polaków... — jaką się któryś z nich. — Z dużą sympatią wspominamy polskich turystów z przed wojny. Pamiętamy, że Polacy walczyli pod Narwikiem! Lecz u nas jest teraz tak trudno z żywnością, więc... Mamy nadzieję, że w najbliższym czasie powstaną pomyślne warunki, które pozwolą wszystkim wam wrócić do waszego kraju. Pan się nie gniewa, prawda?

Nie, nie gniewam się. Rozumiem. Cóż, sentyment sentymentem, przeszłość przeszłością, a — żyć trzeba. Żyć się idzie naprzód i ma swoje wymagania.

— O, znowu gra harmonia — włącza się do rozmowy MacKenzie. — Zbliża się ranek, więc będą tańczyć. Dziwny naród, co? — powtarza swój refren.

— Wcale nie dziwny — odpowiadam — naród taki sam jak inne.

* *

Wreszcie któregoś południa statek wpływa do Narwiku. Upał wisi nad fiordem narwickim, rozkłada się na ciasnej, niewielkiej przystani, dusi kurzem na szerokiej, zapylonej ulicy.

— Tak wygląda miasto polskiej legendy — mówię sobie ogarniając wzrokiem fiord i domy, rozrzucone nad zatoką.

Legenda wpada do uszu wrzaskiem rozkrzyczanych rozmów, ma szary kolor nędznych, bezładnie ustawionych drewnianych bud i nienagannie odprasowany battledress brytyjskiego oficera, który wyszedł po mnie na molo. Poza tym czuć legendę zapachem ryb, ostrym, duszącym odorem smarów i generatorami pędzonych węglem norweskich samochodów.

— Przyjechałem tu, aby zobaczyć wysiedleńców Polaków i zwiedzić polskie cmentarze w tym mieście — wyjaśniam Brytyjczykowi cel mojej podróży.

On zaś uśmiecha się grzecznie i powiada, że istotnie znajdują się tu gdzieś Polacy. Dokładnie nie wie gdzie, ale widuje ich czasami. Co zaś do cmentarzy... Wzrok brytyjskiego oficera jest trochę zdziwiony — jechać tak daleko, aby zobaczyć cmentarze! Nie, nie wiedział, że tu są polskie cmentarze.

— Tyle jest polskich cmentarzy na świecie — zdaje się wyrażać jego spojrzenie — że, naturalnie, dlaczego by nie miało być jeszcze kilku na norweskiej północy.

Strzęp zaś prawdziwej legendy dostrzegam, gdy wóz nasz wyjeżdża z portu. Na dużej, drewnianej budzie właśnie przy samym wjeździe do miasta błyszczy w słońcu wielki, białą farbą wymalowany napis: „Do polskiego ośrodka łączności 300 mtr.“ i strzałka wskazująca kierunek na prawo.

— Co jest z tamtej strony? — zapytuję, wyciągając rękę na prawo.

— Tam? Zaraz, zaraz. Te nazwy norweskie są takie trudne — trze czoło Brytyjczyk. — Aha, już wiem: Ankenes.

— Ta strzałka zaprowadzi mnie do celu — mówię do oficera brytyjskiego.

— Oh, lovely — cieszy się, ale myśli chyba o czym innym.

* *

Ponieważ powiedziano mi już przed tym, że obóz polskich wysiedleńców jest niezbyt odległy od obozu byłych jeńców sowieckich, więc zatrzymuję na ulicy Narwiku dwóch Rosjan i pytam ich, gdzie są Polacy? Pytanie jest proste, postawione w języku rosyjskim i zdawałoby się nie nastrocza żadnych trudności. A jednak Rosjanie milczą i oglądają mnie tak, jak gdybym wraz z odbywającym się w tej chwili zaćmieniem słońca, należał do rzadkich fenomenów natury.

— A wy Polak, co? — domyśla się wreszcie któryś z nich.

— Naturalnie, przecież Chińczyk nie szukałby Polaków w Narwiku — niecierpliwię się.

Nalegam, lecz oni jak gdyby na coś czekali. Przybywa ich coraz więcej i więcej, jest już chyba ze dwudziestu i otaczają mnie zwartym kołem. Zaćmienie słońca robi się pełniejsze, fiord, który widać ze skweru przed Grand Hotelem granatowieje i czernieje i również czernieją zielone od lasów góry.

— Polacy niedaleko stąd mieszkają — odzywa się wreszcie jeden z Rosjan.

— Ja wiem, że niedaleko, ale gdzie? Jak trzeba do nich iść?

— Pójdiesz, popytasz i dowiesz się.

— Oczy same zaprowadzą, tylko popatrzeć.

— Polaków dużo, to nie igła w stogu siana, zawsze ich znajdziesz.

Ten zespół dobrych rad zaczyna mnie irytować. Już chcę wybuchnąć i powiedzieć, możliwie najsoczystszym językiem rosyjskim, który nawiasem mówiąc jest w tych warunkach nieoceniony, co myślę o całym towarzystwie i o wartości przysłów ludowych z nad Wołgi — gdy nadchodzi „zapiewajło“. Każdy, kto choć trochę zna pieśni rosyjskie wie, że „zapiewajło“ jest czymś w rodzaju solisty w chórach ludowych i żołnierskich. Każdy, kto choć trochę zna stosunki sowieckie, wie, że „zapiewajło“ jest swoistym gatunkiem vox populi sowieckiego tłumu, który znalazł się w obliczu zjawisk nieoczekiwanych. „Zapiewajło“ tym razem ma bardzo kałmucką twarz, skośne oczy i ręce niedbale wsunięte w kieszenie spodni.

— A ty wiesz, że wasz rząd w Londynie zlikwidowali? — olśniewa mnie rewelacją.

Wiadomość wprawdzie jest nie na temat, niemniej przeto dowiaduję się o tym po raz pierwszy. W czasie podróży samolotem, hydroplanem i statkiem nie miałem ani gazet, ani radia. Trzeba dziokiego zestawienia:

zaćmienie słońca w Narwiku i gromada jeńców rosyjskich, abym dowiedział się o ostatniej i najboleśniej-szej sensacji z Londynu. Opanowuję się jednak natych-miast.

— Ja w tej chwili nie o rząd polski się pytam, ale o tutejszych Polaków. Zaprowadzicie mnie tam, czy nie?

Niechętnie, ociągając się, rzucając coraz to nowe pytania, w końcu jednak tłumaczą mi chaotycznie jak trzeba iść i gdzie to jest. Dwóch Czechów, którzy podeszli do nas, podejmuje się przewodnictwa. I tak dochodzę wreszcie do polskiego obozu. Leży tuż, tuż za rosyjskim, naprzeciw stacji kolejowej.

Po południu znowu spotykam Rosjan. Nie są to jednak tym razem byli jeńcy niemieccy z czerwonej armii w źle dopasowanych brytyjskich battledressach. Nie jest to także ciemna masa, tłum bez inicjatywy, posłuszenie i bezradnie czekający na swego „zapiewajkę”. Rosjanie, których po raz drugi widzę w Narwiku są dwoma, jak siebie nazywają sowieckimi dyplomatami, a ściśle — urzędnikami specjalnej komisji do spraw wysiedleńców. Mają eleganckie ubrania i szwedzkie kapelusze. Przyjechali do obozu polskiego w sprawie, którą uważają za nad wyraz prostą i jasną.

— Chcemy porozmawiać z obywatelami sowieckimi z okręgu wileńskiego, lwowskiego i innych, które od roku 1939 wchodzą w skład naszego Związku — oświadczają.

I wyciągają listę tych swoich obywateli. Nie wszyscy poszukiwani znajdują się w tej chwili w obozie, ale ci którzy są, oświadczają kategorycznie, że nie chcą jechać do republik sowieckich.

— Jak nie, to nie — zgadzają się dobrodusznie Rosjanie. — Lista ta nadeszła ze Związku Sowieckiego i tam wasze rodziny czekają na was. Waszym rodzi-

nom jest bardzo smutno bez was i może być jeszcze smutniej...

Argument wygląda przekonywująco, delikwenci jednak nie ustępują. Powtarzają, że bardzo chętnie wróciliby do Polski, ale — pod rządami sowieckimi już byli. Nie mają zamiaru wracać pod nie raz jeszcze.

— Jak chcecie, jak chcecie — potrząsa głową w sposób mało budzący zaufanie jeden z sowieciarzy. Jest to Rosjanin starszy swym stanowiskiem służbowym, ten który najwięcej mówi, najgłośniej współczuje rodzinom w Kraju i najchętniej używa zwrotu „pany Poliaki“. Długie i jasno blond włosy opadają mu na czoło, duże niebieskie oczy patrzą bardzo uważnie a żyłaste, owłosione ręce, zaciskają się co chwila nerwowym ruchem w pięści.

— Czy pan sądzi, że oni naprawdę dostali tę listę z Wilna? — zapytuje mnie szeptem jeden z wysiedleńców.

Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć. Wszystko zresztą jest możliwe, szczególnie w tej właśnie dziedzinie. Niewątpliwie organizacja sowiecka w zakresie, powiedzmy, „bezpieczeństwa“ jest niemal idealna. Więc... kto wie?

(Dopiero w kilka godzin potem dowiem się, że droga jaką odbyły listy z nazwiskami uchodźców należała do o wiele mniej skomplikowanych. Rosjanie wydostali je wprost od norweskiego urzędu opieki społecznej w Narwiku).

Tymczasem zaś rozmowa schodzi coraz bardziej i bardziej z torów „sprawy prostej i jasnej“, z jaką przyjechali Rosjanie. W obozie wysiedleńców polskich na norweskiej ziemi i tych z Wilna i tych z Warszawy czy Krakowa wybucha namiętna, gwałtowna, chaotyczna dyskusja nad zagadnieniem, które od tyłu miesięcy i lat

przewija się w różnych formach poprzez prasę i społeczeństwa całego świata. Polacy są, przynajmniej to szczerze, stroną atakującą. Opowiadają, ba — zwierają się ze swoich tęsknot za Krajem. Mówią o tym, jak bardzo chcieliby powrócić do rodzin. O tym, jak zupełnie, jak niezmiernie zbrzydła im już ta wędrówka, to tułactwo bez kresu i bez końca. Że chcieliby już normalnie żyć i normalnie pracować. U siebie. W domu. Że ostatecznie tyle już przeszli prześladowań ze strony Niemców, tyle już zaznali od nich złego.

— Wracajcie — mówią Rosjanie.

— Ale... czy możemy wracać bezpiecznie? Czy nam się nic złego nie stanie?

— U nas wszyscy żyją spokojnie i szczęśliwie — oświadczają sowieccy urzędnicy — a bać się tylko powinni wrogowie ludu. A jak jest u was w Polsce, nas nic nie obchodzi. Polska jest jednym państwem, a Związek Sowiecki drugim. I nie do nas należy mówienie wam, jak was przywitają w Polsce.

— Wiem trochę jak jest z tymi wrogami ludu w Sowietach — krzywi się niemiłosiernie jeden z obecnych Polaków. — Siedziałem przecież w 1939 i 1940 roku, pomimo że wrogiem ludu nigdy nie byłem.

Rosjanie uśmiechają się zagadkowo. Wzruszają ramionami. W Sowietach jest 192 miliony ludzi, więc czy ktoś taki „krugom niedawolnyj“ wróci, czy nie, to na prawdę nie gra żadnej roli.

— Wy, pany Poliaki, zawsze tylko zajmujecie się drobiazgami — strofują. — A na świecie dzieją się rzeczy poważne. Warto im się przypatrzeć i... pomyśleć. Ot, wy sobie i pomyślcie, a później pogadamy.

Biorą za kapelusze i bez pożegnania wychodzą. Z samochodu na podwórzu wyskakuje szofer w ciemno-granatowym ubraniu ze złożonymi guzikami. Usłużnie



Front włoski: Broń pancerna w śródmieściu Bolonii.



General Anders w Wilhelmshafen.



Cmentarz w Haakvik w Norwegii.



Groby Polaków na cmentarzu w Narwiku.

otwiera drzwiczki wozu. Pręży się w nienagannej służbistej postawie.

W obozie długo jeszcze po tej wizycie trwają rozmowy i wymiana wrażeń. Tęsknota chwyta się za bary z obawą o rodziny i o siebie, a zmęczenie życiem tułaczym przeplata się z obrazami ponurej i beznadziejnej przyszłości. Co robić i co... wybrać?

* *

Dokoła Narwiku rozłożyły się polskie cmentarze. Nie ma chyba miejscowości, której nazwa związała się na stałe ze wspomnieniem walk o Narwik, gdzieby nie znajdował się choć jeden grób polski. Odnalezienie ich wszystkich, ustalenie nazwisk tych, którzy pod ziemią norweską spoczęli to praca jeszcze dla wielu i na długie czasy. Wyrażano kiedyś przypuszczenie, że gdy minie burza a prawdziwy i sprawiedliwy pokój nadejdzie dla naszego kraju, wyjadą specjalne komisje, które założą jeden wspólny cmentarz dla polaków w Narwiku. Dziś jednak ta sprawa nadal jest nieaktualna.

O cmentarze polskie opłotła się obok legendy bojowej, z 1940 roku, druga legenda, niemniej romantyczna i na pewno nie mniej świadcząca o uczuciach i nastrojach Polaków, których wojna wyrzuciła poza granice kraju. Narwik był pierwszym polem bitwy dla tych wszystkich, którzy wyszedłszy z Polski, dalej walczyli o niepodległość. Była to, cokolwiek by się po niej stało, legenda pełna dumy, pewności siebie, wiary, zadzierzistości, ukazywania światu, że istniejemy, żyjemy, że — właśnie — „Jeszcze Polska nie zginęła“... Druga legenda jest smutna, jak każda konspiracja, jest legendą cichej tajemnicy i nie mniej cichego bohaterstwa. Jest to

historia krzyży, nagrobków i pomników na polskich cmentarzach.

W parę lat po żołnierzach Brygady Podhalańskiej przybyli do Narwiku Polacy z niemieckich organizacji roboczych. W odróżnieniu od tamtych, nie mieli na sobie ani mundurów, ani polskich orłów, nie byli ochotnikami, nie przynieśli hasła wolności, hasła walki przeciw Niemcom. Tamci pierwsi byli żołnierzami. Ci — niewolnikami. I oto noce polarne, ciemne, jaśniejące z rzadka jedynie daleką poświatą podbiegunowej zorzy, załamującej się na głębokich śniegach, zaczęły oglądać sceny dziwne, a nawet — jeśli kto chce — wstrząsające. w Beisfiord, Harstadt, w samym Narwiku wyznaczone losowaniem robocze patrole opuszczały nocą obozy pracy, aby na polskich grobach zostawić serdeczny ślad trwałej pamięci. Na kilku mogiłach w Beisfiord stanęły krzyże i tabliczki. Wśród 64 polskich mogił w Harstadt wzniesiono pomnik. Sześciu żołnierzy polskich na cmentarzu narwickim ułożono w jednej wspólnej mogile; wzniosł się nad nią wysoki krzyż z białą figurą Matki Boskiej i napisem, który swą ortografią mówi nieskończenie więcej, niż najbardziej wystylizowane przemówienia oficjalnych dygnitarzy: „Tu leżą Polacy, ktorzy polegli śmiercią bochaetrską o Narwik. Cześć Im i chwała“.

Osobliwością tych wszystkich mogił jest fakt, że znajdują się one wśród liczniejszych mogił niemieckich. Gdy zwiedzam cmentarz narwicki, to od jednej nie mogę powstrzymać się refleksji — przecież to nieortograficzne epitafium tak samo odbija się od równych, starannie utrzymanych szeregów niemieckich mogił, od bombastycznych haseł i napisów, jak cały nasz los w tej wojnie odbija się od złowrogiego i teatralnego dramatu Rzeszy. I jedni i drudzy — Polacy i Niemcy — polegli

w tej samej bitwie i w tym samym czasie. Nad mogiłami niemieckimi pochylały się sztandary, przemawiali generałowie, grały orkiestry, przewijały się rocznice. Polakom, którzy pod Narwik przyszli poprzez „zielone granice“, poprzez więzienia, ucieczki, poprzez tylokrotną groźbę anonimowej śmierci na przemytniczym szlaku — postawiono ciemną nocą, rękoma nieznanych rodaków skromny napis, który też miał przez długie miesiące być konspiracją.

Cmentarz w Haakviku jest dziełem rąk norweskich. Zaprojektował go narwicki architekt Karstat, a wykonała ludność miejscowa. Ten cmentarz też powstawał w ukryciu. Jest hołdem nie tylko dla Polaków. W długim prostokącie wyciągnęło się dwadzieścia cztery mogił polskich. Naprzeciw nich, również w liczbie dwudziestu czterech — mogiły brytyjskie. Po środku dzieścięć mogił Francuzów. Na każdej z nich jest mały, drewniany krzyż, a na nim — barwy narodowe. Polacy mają biało-czerwone, Brytyjczycy — Union Jack, Francuzi — tricolore. Nazwisk na krzyżach nie ma. Nad całością wznosi się ogromny krzyż z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej — inicjałami „2 BS“ (Druga Brygada Strzelców), datą pamiętnego roku: 1940 oraz napisem „Żołnierzom Polskim poległym pod Ankenes — Koledzy“.

Jest głęboka, czerwona od słońca i głośna od miliardów komarów noc, gdy przyjeżdżam na ten cmentarz. Oprowadzają mnie Polacy z dzisiejszego Narwiku: Stanisław Suwalski, Zbigniew Bulankow i Stanisław Dmuchowski. Opowiadają mi dzieje wszystkich cmentarzy, wspominają daty, powołują się na tę niedawną przeszłość, okropną i koszmarną, po której przyszły dni jeszcze bardziej ponure. Na tym cmentarzu, który jest, jak każdy cmentarz symbolem śmierci i końca, mówią

o nadziejach nowego życia, jakie przez tyle lat było dla nich wszystkim.

— Gdy przychodziliśmy nocami nad mogiły naszych żołnierzy — mówią — wierzyliśmy święcie: żołnierze mieli rację. Nie po to przecież zaczęli tu, pod Narwikiem, pod Ankenes, nad tymi fiordami walkę wśród obcych, aby na miejsce jednej klęski przyszła druga, a jedną niewolę zastąpiła niewola inna. A teraz...

Duży, sosnowy las pachnie tak silnie, tak odurzająco, jakby był w Polsce. Mały cmentarz, schowany w lesie przepełniony jest cały zapachami sosen. Piaszczysta, sucha ziemia chrzęści pod krokami i pokrywa buty jasnoszarym pyłem. Gdzieś z dala, poza drzewami, poza tym lasem została Norwegia, kraj daleki i obcy. Tu, na tym cmentarzu, jest Polska. Może to dla *Nich*, jeśli dziś wiedzą, jak zakończyła się droga, która ich wiodła przez Narwik, może to dla *Nich* jest jedyną pociechą. Że leżą w ziemi, która tak bardzo jest podobna do polskiej.

— Znam ten cmentarz — mówię — wygląda dokładnie tak samo jak jego opis w książce Ksawerego Pruszyńskiego. Nie tylko tak wygląda, ale tak się go czuje. Ma tę samą atmosferę, taki sam nastrój, pomimo, że od pogrzebu Polaków tutaj minęło już przeszło pięć lat.

— Przeszło pięć lat, jak Polacy walczą pod tyłoma innymi Narwikami — odzywa się niby echo Suwalski.

— Widzi pan, my nie wiele wiemy o innych kampaniach polskich poza granicami naszej ojczyzny — dodaje Bulankow. — Tak długo już jesteśmy odcięci od prawdy, od polskiej książki, od polskiej gazety. Czy nie mógłby pan nam opowiedzieć, chociażby najkrócej, o wszystkich polskich kampaniach?

Wychodzimy z cmentarza, okrążamy go wielokrotnie wąskimi, piaszczystymi ścieżkami. Mówię o ubiegłych pięciu latach. Powoli przesuwają się noc nad Nar-

wikiem. Stopniowo czerwienieje słońce, aby stać się zupełnie jaskrawe, jak ogromna kula, przepalana od wewnątrz płomieniem. Tak w Polsce wygląda zachód. Tak w Norwegii wygląda przedświt. Potem schodzimy nad fiord narwicki, który daleko przed nami rozgałęzia się w dwa ramiona, biegnące teraz aż pod horyzont złotoczarnymi strugami.

— Ten po prawej stronie, to jest fiord Rombaks, po lewej fiord Ofoden — stwierdza Dmuchowski.

— Gdy wyjdzie pan z cmentarza i spojrzy na fiord narwicki, rozchodzący się dwoma mniejszymi: Rombaks i Ofoden w kierunku północnym, niech pan pamięta, że przy tym rozkrzyżowaniu poszedł na dno O.R.P. „Grom” — mówił mi w Oslo kpt. Wienczysław Kon z „Pioruna”, a w czasie narwickich walk oficer „Błyskawicy”. — Stało się to dnia 4 maja 1940 roku. „Błyskawica”, „Burza” i „Grom” od dłuższego już czasu patrolowały we fiordach. Były tym szczęśliwym zespołem, który wiele krwi napsuł Niemcom, a sam szczęśliwie unikał niebezpieczeństw. I właśnie czwartego maja, o godzinie ósmej dwadzieścia przyleciał jakiś samotny Heinkel. Bomba rąbnęła celnie w kotły „Gromu”. Okręt zatonął w ciągu paru minut. Część załogi uratowała się. Część do dziś spoczywa na głębokości kilkuset metrów w szczątkach swego okrętu. Zwiedzając cmentarze proszę pamiętać, że obok tych na ziemi jest jeszcze jeden: podporucznika Aleksego Krąkowskiego, oraz sześćdziesięciu sześciu podoficerów i marynarzy u wylotu fiordu Rombaks. Niech pan i nad tym cmentarzem się pochyli i zaniesie mu nasze marynarskie wyrazy pamięci.

Stajemy więc na wzgórzu, mając po prawej ręce cmentarz w Haakwik, po lewej zaś ową marynarską

i wojenną zbiorową mogiłę „Gromu“. I — może to jest niepotrzebny, niepoważny gest — salutujemy długo te dwa polskie cmentarze...

* *

— O tu, pod tymi drzewami stała polska radiostacja — tłumaczy nam chłop z Ankenes.

Jest wciąż ta sama noc, w czasie której zwiedzamy cmentarze i szukamy śladów polskiej obecności. Ta sama dziwaczna noc, pełna ludzi na drogach (o ile w ogóle można mówić o miejscach pełnych ludzi na norweskiej północy) i rozbrzmiewająca anemicznym gwarem. Chłop, przy którego domu stanęliśmy, zareagował szybko na widok orła na moim berecie. Wybiegł ze swego ogrodu, wyniósł mleko, opowiedział o śmierci „Gromu“, którą oglądał w owym fatalnym dniu, a później — o Polakach, którzy mieszkali w jego chałupie, pracowali ze swoją radiostacją pod jego drzewami, a potem zostawili wspólne fotografie. Oglądam te fotografie. Uśmiechają się tak dobrze znane sylwetki w starych, francuskich mundurach. Spadają aż na plecy długie i szerokie berety. Czytam podpisy: Leon Rogowski, Gajowczyk Jan, Bujdzicki Stanisław i data 24.5.1940. Chłop wykrzykuje dzieje pobytu tych Polaków, opowiada jak wycofywali się spod Ankenes, jak szli za góry. Pyta się, czy nie znam któregokolwiek z nich. On chciałby się z nimi spotkać. To byli najlepsi, najmilszy chłopcy, jakich znał.

...A przed kilkoma dniami na ulicy Narwiku dwaj norwescy żołnierze z oddziałów, które w czasie wojny były internowane w Szwecji, strzelali do polskich bezbronnych uchodźców. A wczoraj inni Norwedzy wdarli się do polskich baraków i zrobili karczemną awanturę.

A teraz, w tej właśnie chwili, gdy my tu jesteśmy, kilku innych Norwegów bije do krwi, do nieprzytomności Polaka pod bramami obozu sowieckich żołnierzy. Zastaniemy go, gdy wrócimy, podrzuconego pod nasze baraki.

— Pytali mnie czy jestem komunistą — opowie później. — Jak odpowiedziałem, że nie, krzyczeli: „nie będziemy utrzymywali darmozjadów!”

Takie jest polskie wczoraj i dziś w Narwiku.

* *

Kierowca nazywa się obergefreiter Habere i melduje się z nienagannym trzaskiem obcasów. Wóz jest również niemiecki: duży, luksusowy Mercedes.

— Żałuję, ale nie jesteśmy w stanie dać dziś panu do Tromsø żadnego z naszych wozów — powiedział mi w Narwiku brytyjski kapitan Long. — Dzwoniłem więc przed chwilą do obozu niemieckiego i kazałem, aby stamtąd przysłano wóz dla pana.

Niemcy w Norwegii aż do czasu ewakuacji z tego kraju mają względną swobodę poruszania się względną, aby tak rzec, autonomię. Rządzą się w swoich obozach własnymi prawami. Nikt nie krępuje ich ruchu w określonych z góry rezerwatach. Mają benzynę i żywność. Na drogach norweskich często spotyka się niemieckie wozy, na każdym z nich jest biała flaga. Tak samo białe opaski noszą ci Niemcy, którzy w sprawach służbowych wyjeżdżają poza granice rezerwatu.

Habere nie ma białej opaski, jest w tej chwili w bezpośredniej alianckiej dyspozycji i dlatego sam uważa się prawie za alianta. Kiedy czekamy na prom salutuje skwapliwie brytyjskich oficerów. Dwóch oficerów niemieckich tuż obok chciałby nie dostrzegać. Z wozu

zdjął białą flagę, zawieszając zamiast niej norweski proporczyk. Stara się wyjaśnić mi, że zawiesiłby polski, albo angielski, ale ich nie posiada. Habere nie zaniedbuje żadnej okazji, aby podkreślić swe nowe sympatie. Z naciskiem podkreśla, że pochodzi ze Stuttgartu: „No Berlin“. W ogóle wygląda na człowieka rozmownego, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia — on nie zna języka angielskiego, ja zaś nie mam prawa i nie umiem mówić po niemiecku.

Drogę mamy przed sobą długą i ciężką, przeszło trzy-sta kilometrów po jednej, jedynej wąskiej szosie, którą jak na złość, właśnie dziś zawałają niemieckie transporty. Dzień jest ponury i chmurny. Jedziemy pomiędzy górami, ale skryły się one wśród gęstych, napęczniałych deszczem i burzą chmur. Droga robi się prawie mleczna, tak jest biała od mgły, rozścielającej się po lasach, wiszącej nad rzadkimi domami, kładącej się wzdłuż szosy i wpadającej przez szyby do wozu. Jedziemy wolniej, niż byśmy to mogli robić przy lepszej pogodzie, mamy jedną małą krakę przy wymijaniu niemieckiej ciężarówki i nadspodziewanie szybko kończy się nam benzyna. Zahaczamy wobec tego o jeden z niemieckich obozów, gdzie Habere dostaje benzynę i dwóch mechaników do pomocy przy naprawie auta.

Wychodzę z wozu. Kilku niemieckich podoficerów pręży się w przepisowej postawie na baczność. Dowódca ich, oberleutnant zbliża się do mnie, przedstawia się i wyciąga rękę na powitanie. Nie odpowiadam na ten gest, bo jeszcze wciąż obowiązuje „no fraternising“. Równocześnie czuję się niewymownie głupio. Ci Niemcy, którym powodzi się tak dobrze, ten obóz, który w niczym nie przypomina klęski, ta cała w ogóle sytuacja tak daleka od jakichkolwiek aspektów zwycięstwa bardziej, niż wszystko przed tym przypomina mi, że chy-

ba nikt tak dokładnie, tak zupełnie i absolutnie nie przegrał wojny, jak właśnie... my. Abyśmy zaś nie miał żadnych wątpliwości co do tego, oberleutnant mówi wcale niezłą angielszczyzną:

— Pan chyba nie będzie mógł wrócić do swego kraju... — a w głosie ma obok współczucia, także i wyraźną ironię.

— Z jakiej części Niemiec pan pochodzi? — odpowiadam pytaniem.

— Z Wilhelmshaven. Tam mam całą rodzinę i tam chciałbym wrócić.

— Nie sądzę, aby pan mógł wrócić do Wilhelmshaven — mówię wolno — Wilhelmshaven już nie istnieje. Widziałem je przed kilkoma tygodniami. Byłem tam gościem polskiego komendanta miasta. Nie wiem, czy panu wiadomo, że Wilhelmshaven zajęła polska Dywizja Pancerna i że administrowali miastem Polacy.

Niemiec milczy, lecz uśmiech jego przestaje być uprzejmy. Ma zaciętą twarz, po chwili jednak dorzuca melancholijną uwagę:

— W Wilhelmshaven miałem żonę i dziecko.

— Moja rodzina była w Warszawie — odpowiadam i wracam do wozu.

Jedziemy dalej.

* *

W Tromsø zaczyna się dzień. Coraz mniej ludzi jest na głównej ulicy miasta. Już nie wzywają mnie na drinka ludzie z vis-à-vis. Poszli widocznie spać i prawdopodobnie obrazili się na mnie za to uparte klepanie na maszynie. Poszedł też spać kpt. Roger Raczyński, nasz oficer łącznikowy, z którym przypadkowo spotka-

łem się tutaj wczorajszego wieczora. Zostawił mi tylko jakiś wykaz z krótką uwagą:

— Może to się panu przyda.

Więc, co to jest?

„Stan polskich wysiedleńców w okręgu Trondheim“ (cała północna część Norwegii). Przeglądam kolumny cyfr. Czytam charakterystyki poszczególnych obozów, zapoznaję się z nazwiskami komendantów, dowiaduję się o trudnościach, z jakimi napotyka się każde usiłowanie wyciągnięcia Polaków z Wehrmachtu. Błagają oni, jak o łaskę największą o wydostanie ich z niemieckiej wspólnoty i przemocy. Wszystko na próżno. Do dziś w samym tylko okręgu północnym jest w szeregach Wehrmachtu 5190 Polaków! *Na południu jest ich jeszcze więcej.*

Raport wylicza trudności transportowe. Mówi o zbyt małej liczbie polskich oficerów łącznikowych. Dochodzi do wniosku, że do dziś nie można uchwycić bezwzględnie ścisłej cyfry Polaków w Norwegii. Należy przypuszczać, że jest ich kilkanaście tysięcy.

I wreszcie ostatnia uwaga przy samym zakończeniu.

„Brak przede wszystkim czasopism i książek, szczególnie podręczników do nauki angielskiego. Brak wydawnictw informacyjnych o obecnej sytuacji w Polsce, w Europie i na świecie. Wysiedleńcy domagają się informacji, kiedy wreszcie będą mogli pojechać do wojska polskiego, które jest w Anglii i na kontynencie“.

Brak właściwie — brak wszystkiego. Kto na to zaradzi? Kto pomoże? Kto usunie te kolosalne niedomagania? I co dalej, co dalej?

— W Drag, małym porcie przed Narwikiem spotkałem przed kilkoma dniami grupę Polaków, jeńców z kampanii wrześniowej i z Armii Krajowej. Stali na moło w połowych rogatywkach i jak zwykle Polacy na obcej

ziemi, żegnali mnie wylewnie i serdecznie. M/S „Rangvald Jarl“ już odpływał. Powoli odsuwał się od pomostu, przerywając ostatni uścisk rąk.

— Trzymajcie się, może Bóg da, będzie lepiej — starałem się przekrzyczeć hałas dzwonków, gwizdów i krzykliwych norweskich rozmów.

A siwy Stefan Błaszczuk ze Lwowa, senior tej grupy, odpowiedział mi twardo i z przekonaniem:

— Taka już jest nasza dola, panie, ale jak tyle lat przedtem, tak i teraz wierzymy w to, co ja śpiewałem, kiedy byłem młody.

Statek oddala się o metr, o dwa, o dziesięć od mola. Maleją sylwetki kilkunastu Polaków na brzegu. Wyraźnie jednak słyszę ich śpiew, idący ponad gwizdy, dzwonki i gwary:

*„Czy umrzeć nam przyjdzie wśród boju,
Czy w tajgach Sybiru nam zgnieć,
Z trudu naszego i znoju
Polska powstanie by żyć...“*

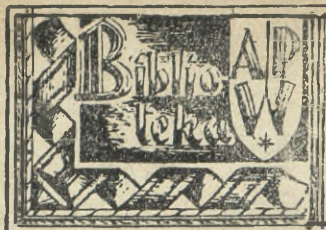
Statek jest już daleko i brzegów nie widać. Jakby echem, coraz cichszym i cichszym powraca refren:

“Polska powstanie, by żyć...”

SPIS RZECZY

	str.
Wojska powietrzne pod Arnhem	5
Drugi Korpus	22
Nie okupanci, lecz oswobodziciele	30
Patrol poluje na kaczki	35
Gdy „spokojny“ front hałasuje	44
Wrażenia włoskie	54
Ruszamy za rzekę Senio	65
Od Gaiano do Bolonii	77
Stuttgart, Monachium, Murnau	88
Na ruinach Wilhelmshaven	96
Warszawianki w Oberlangen	106
Wśród Polaków — od Oslo do Tromsö	115





2

X 1971

17